

NIEMCY KRUCZKOWSKIEJ¹

MYDEŁKO

Dlaczego zaczęłam wyjeżdżać? To normalne, finanse, a trochę też ciekawość. Nigdy nie byłam na Zachodzie, nie było takich możliwości, nie było też i kasy. Po prostu nie było to realne, żeby wyjechać, przynajmniej w moim przypadku.

Tak się złożyło, że poszłam na wcześniejszą emeryturę – właściwie to dostałam „propozycję nie do odrzucenia”: albo się zdecyduję, albo mnie zwolnią. Najmłodsza córka była jeszcze w szkole, miała zdawać maturę, chciała studiować. Już zaczęły się te zmiany, wiadomo było, że wszystko inaczej będzie kosztowało, nie tak jak przed laty, no i zaczęłam się martwić – mała emerytura, jak to będzie dalej, jak sobie poradzimy. Spotkałam znajomą, panią M. Jestem farmaceutką. Przez kilka lat przed emeryturą pracowałam w aptece leków z darów. Zrobiłam kurs języka niemieckiego, podstawowy I stopnia, ponieważ większość leków, które przychodziły w darach, było z Niemiec. Nie wszystkie były opisane w „Lekach współczesnej terapii” i często nie bardzo wiedziałam na co one są, więc najpierw kupiłam sobie słownik i tak jakoś tłumaczyłam, ale to nie zawsze dobrze mi wychodziło. Kurs organizowała mniejszość niemiecka, kosztował niewiele; wiedziałam, że się dużo nie nauczę, ale może czytać, jakichś podstawowych zwrotów, no - na pewno mi się to przyda. Pani M. była moją nauczycielką na tym kursie.

¹ Tekst, na podstawie którego powstało słuchowisko pt. „Niemcy Kruczkowskiej”, stanowi fragment większej całości (w przygotowaniu).

Niestety po paru miesiącach kurs się rozsypał - II stopnia już nie było, bo mnóstwo ludzi w tym czasie wyjeżdżało do Niemiec. Potrzebowali tylko cośkolwiek wiedzieć i już ich nie było. Dalej się nie uczyłam, moja edukacja się skończyła. Co umiałam? Szybko złapałam akcent i czytanie, nauczyłam się dni tygodnia, nauczyłam się liczyć, czasów, rodzajników, podstaw gramatyki. Tyle, że to było parę lat przed moim pierwszym wyjazdem do Niemiec, a po kursie języka na co dzień nie używałam. Nie miałam też czasu, żeby siedzieć i czytać, zagłębiać się. Moja nauczycielka przychodziła od czasu do czasu do apteki. Nawiązałam z nią kontakt, ponieważ mieliśmy ogromne ilości tych leków, z dobrymi terminami, takich ogólnych, przeciwbólowych, przeciwgrypowych, przeciwgorączkowych, które można było wydawać bez recept. Nie chciałam, żeby to się zmarnowało, i jak miałam możliwość, to upychałam te leki gdzie się dało, żeby ludzie skorzystali. Pani M. zabierała je na wioskę, do sołtysa przywoziła, dzieliła je, i tam się zgłaszali ludzie, najczęściej starzy dziadkowie.

Na emeryturę poszłam w 1997, to był lipiec, a w 98 córka zdawała maturę. Jesienią przypadkowo się spotkałyśmy z panią M., nawet nie wiedziałam, że ona mieszka tu gdzieś w pobliżu. Co słyszeć pani Ewo²? Ja mówię, że nie za dobrze, bo jestem już na emeryturze, mam problemy finansowe, córka maturę zdaje, chce iść na studia, nie wiem jak to będzie. Pani Ewo, niech pani się nie martwi, ja pani pomogę. To był dla mnie taki trochę szok, jak ona może mi pomóc, co ona może dla mnie zrobić. A ona na to: pojedzie pani do Niemiec do opieki. Ja do opieki? Przecież nie znam języka.

² Imię i nazwisko bohaterki oraz jej podopiecznych, jak również wszystkie inne personalia i nazwy geograficzne zostały zmienione.

Jak to pani nie zna, robiła pani kurs. No nie znam, co to za znajomość po takim kursie. Ja sobie wyobrażałam, że jak się jedzie, to trzeba umieć rozmawiać, trzeba wiedzieć co ten pacjent chce. Ale co pani opowiada! Pani była taka bystra, zdolna, pani język zna. No więc skoro nauczycielka uważa, że język znam, to chyba tak źle ze mną nie jest. Mówiąc szczerze, nie bardzo wierzyłam, że ona mi coś załatwi, ale któregoś dnia dzwoni i mówi: Wie pani co, chyba pani pojedzie już w grudniu, czy byłaby pani gotowa jechać na święta? No to ja, że nie za bardzo, ale jak trzeba, to pojedę. Dla mnie były jednak ważne pieniądze, poza tym bałam się, że jak zacznę kręcić – pojedę, nie pojedę, a może wtedy, a może wtedy, to wcale nie dostanę tej pracy. Jednak po kilku dniach ona znowu zadzwoniła, że tam się coś zmieniło, ktoś do szpitala poszedł czy coś, ze starszymi ludźmi to różnie bywa: „będziemy czekać, na pewno coś będzie”. No i właściwie ja już straciłam nadzieję.

Następnym razem zadzwoniła dopiero po nowym roku, pod koniec marca. Pani Ewo, mam dla pani pracę, bardzo fajną, pojedzie pani do Rosenburga, na 3 miesiące. To mi nic nie mówiło, bo w ogóle Niemiec nie znałam, wiedziałam gdzie Berlin leży i ogólnie coś o kraju, nic poza tym. W kwietniu była Wielkanoc, to miały być pierwsze moje święta tam. Zanim pojechałam, przyszłam do pani M. i poprosiłam, żeby mi pomogła, bo ja nic nie wiem - jak się zapytać, jak się zachować, co robić. Ona udzieliła mi krótkiego pouczenia, że jak jest ruch, to używa się takiego pomocniczego słówka, a jak nie ma, to takiego, że ważne są czasy. Głowę miałam kwadratową, zeszyt przed sobą, zadawałam jej w końcu pytania, bo ona mi wszystko szybko chaotycznie mówiła - to było dla mnie okropne, nie do opanowania. Podstawowe pytania, *also*, dotyczące

mojej rodziny – ile mam lat, gdzie mieszkam, że mam męża, dzieci, co robią moje dzieci, kim ja jestem z zawodu – to sobie wszystko zapisałam, nawet takie proste pytania, jak gdzie jest toaleta, bo naprawdę nie wiedziałam, nie pamiętałam. Mówiąc szczerze, tak jak teraz z perspektywy lat się patrzę, to byłam albo bardzo zdeterminowana, albo po prostu nie zdawałam sobie sprawy, albo jakaś taka nie wiem, no po prostu głupia. Na pewno rozsądne to nie było, taka jazda w ciemno. Jadę, będzie dobrze, to będzie, a jak nie, to wracam i już – ryzyk-fizyk.

Jak zareagowała rodzina? Właściwie to nie wiem. Marysia na pewno bardzo cierpiała, bo ja byłam strasznie z nią związana. Jest duża różnica wieku między nią a starszymi dziećmi. One były bardzo samodzielne, tak mi się przynajmniej wydawało, natomiast najmłodsza była trochę chyba przez nas rozpieszczona, trochę hołubiona, bo my też już byliśmy starsi – człowiek inaczej wtedy do dziecka podchodzi. Wiem, że ona okropnie przeżywała, że ją zostawiam w takim momencie. Dla mnie też to było bardzo trudne. Gdy starsze dzieci zdawały maturę, byłam z nimi, a Marysię, tą najmłodszą, wychuchaną, wydmuchaną, rozpuszczoną, zostawiłam samą. Mąż chyba dobrze zareagował, nie usłyszałam niczego takiego „a po co tam jedziesz, a nie jedź, a zostań w domu”. Raczej myślę, że rodzina się odniosła pozytywnie, a jak naprawdę, to trudno powiedzieć, bo moje dzieci są skryte. Na pewno się bały, denerwowały jak ta matka sobie poradzi.

Kiedy odchodzi się z pracy, wszystko się zmienia, przychodzi pustka. To jest tak trudny czas w życiu. Wtedy to już, tak mówiąc szczerze, człowiek nie ma ochoty na nawiązywanie nowych znajomości, jest bardziej ostrożny, nie tak otwarty jak w

młodości. Z latami widzi pewne rzeczy inaczej, widzi że nie wszyscy są tacy jak się wydaje, że z pewnymi rzeczami się trzeba liczyć, nie wszystko można powiedzieć wprost. Pomału zostaje sam. Dzieci odchodzą, mają swoje rodziny, swoje problemy, nie dzielą się tym z rodzicami z różnych względów, oszczędzają rodziców, chronią ich przed smutkami. Poza tym są zabiegani, zaganiani, pewnie że jakaś tam lampeczka się im świeci, oj trzeba by zadzwonić jak tam tato czy mama, co u nich słyszeć. Taką pustkę trzeba czymś wypełnić, albo uczyć się czegoś, albo jakieś hobby sobie znaleźć. Po przejściu na emeryturę byłam dość długo w górach, ponad 3 miesiące, i ten wyjazd dobrze mi zrobił, ale gdy wróciłam, pustka jednak pozostała, ten czas niezagospodarowany. Ja co prawda jeszcze trochę pracowałam społecznie, dwa dni w tygodniu, więc nie mogę powiedzieć, żebym była tak zupełnie odizolowana od ludzi, od pracy, ale dla mnie to było za mało. Ja sobie tego nie wyobrażałam, że będę siedziała w domu. Byłam jeszcze przecież na tyle zdrowa i młoda – 55 lat to nie jest tak dużo. Ja sobie pomyślałam: to jest za wcześnie, to tak nie może być, ja muszę coś robić, czymś się zająć, no może akuratnie coś wyjdzie z tych Niemiec.

No i pojechałam. Moją pierwszą podróż pamiętam jak dziś. Jechałam małym busikiem, spod domu. Dobrze się jechało. Przeżycie było - co to zapakować, co to wziąć, zakiecik sobie nowy kupiłam, żeby nie wyglądać jak siódme dziecko stróża. Podróż trwała kilkanaście godzin. Jeszcze wtedy był strach, na granicy. Polska do Unii nie należała, były wielkie kontrole. Muszę powiedzieć, że tak się szczęśliwie złożyło, że przez tyle lat mnie osobiście na granicy niemieckiej nikt nie kontrolował, nigdy, choć

bywało, że cały busik musiał zjechać na bok, bagaże wyciągać, długo się czekało. Przyjazd do Zgorzelca to było coś wielkiego, ten długi tunel, to było dla mnie wszystko nowe, no i te piękne drogi w Niemczech. Wtedy to naprawdę robiło wrażenie. Przejeżdża się przez Saksonię, koło Drezna, jedzie się na Jenę, autostradą A4. Z jednej strony zamki, ruiny, z drugiej strony zamki, rzuca się w oczy wielka czystość, co u nas jest okropnie pod tym względem. Poza tym domeczki – urocze, takich u nas nie było.

O rodzinie, do której jechałam, wiedziałam tylko tyle, że jest to pani, samotna wdowa, i że jest chora. Syn, który załatwiał pomoc, powiedział, że matka jest na chodzie, w tej chwili jest w szpitalu i niedługo wraca do domu. Porusza się sama, ale wymaga opieki. Wiedziałam, że ma dwóch synów dorosłych, jeden mieszka w pobliskim miasteczku, a drugi trochę dalej. Przyjechałam nad ranem. Patrząc, bardzo ładny domek, przed domkiem ogródek (tam wszędzie są ogródeczki, nieduże, ale piękne, wypieszczone). Akuratnie Graetel, ta moja pierwsza pani, miała przepiękne sasanki, tak ogromną kępę cudownie kwitnących sasanek, że pierwszy raz w życiu widziałam. Domek był piętrowy, bardzo wygodny. Ogromne piwnice. Syn mi otworzył, bardzo sympatyczny. Pokazał mi mieszkanie - na górze, na piętrze było normalne mieszkanie do mojej dyspozycji – oddzielna łazienka, bardzo ładny pokój. Warunki miałam dobre, muszę przyznać. To była jedna z fajniejszych „stell”.

Rodzina zaczęła się zjeżdżać, ja oczywiście z tym zeszytem. Jestem komunikatywna, więc umiałam się jakoś dogadać. Na pewno oni nie wszystko rozumieli, ja też niewiele rozumiałam, ale udawało się. Poza tym ja zawsze byłam

gościnną, widzę, że ludzie przyjeżdżają, zapytałam gdzie kuchenka, spytałam czy chcą kawy, szybko zrobiłam. Przyjechał drugi syn, Peter, z synową, oboje tędy, widać, że lubią podjeść, przyjechała żona młodszego syna, Freda, przyjechała wnuczka i wnuk. Wnuczka miała na imię Ana. Bardzo urodziwa, szczuplutka, drobniutka, piękne czarne oczy, rzęsy czarne, typ taki wschodni jakiś, orientalny, naprawdę fajna dziewczyna. Potem, jak już tam dłużej byłam, stwierdziłam, że bardzo podobna do babci, która kiedyś była ładną kobietą. Wnuk natomiast wdał się w rodziców, ważył ze 100 kg jak nie więcej. Robił służbę zastępczą, jeździł jako sanitariusz, odrabiał wojsko. Wszyscy przyjechali mnie obejrzeć. Oględziny wypadły chyba pozytywnie, tak przynajmniej wywnioskowałam. Nie wiedziałam na co oni tak to czekają; siedzą, wino popijają, kawa, ciasto, tak wszystko na luzie. Okazało się, że o drugiej godzinie miała przyjechać Graetel - Margerite. Dużo osób jak tam przychodziło mówiło Graetel, Graetel, i Graetel, ja nie znalazłam w słowniku tego słowa. Pytam się, jak to się pisze, a oni nie wiedzieli o co mi w ogóle chodzi. Wreszcie zorientowałam się, że Graetel to jest skrót od Margerite - Małgorzata. Tak jak u nas się mówi Gosia, to tam się mówi Graetel. Dość długo trwało zanim do tego doszłam.

Wreszcie przywożą ją. Byłam ciekawa gdzie to idzie ta pani, która to jest. Matko przenajświętsza, tego nie zapomnę do końca życia! Weszło dwóch młodych, rosnących mężczyzn, a w takim jak gdyby prześcieradle, w takiej płachcie, grubej jasnej płachcie, którą z dwóch stron trzymali, w środku było coś. I nagle z tej płachty wyszła głowa. Jakby kukielka wyskoczyła, wielkie ciemne oczy, kruczoczarne loki na głowie, pełno ich wokół twarzy, uśmiechnięta i patrzy się coś takiego. Wywlekli ją z tej płachty,

posadzili na sofę, i ona tak siedziała. Przywieźli ją ze szpitala, tak zostawili i pojechali. Okazało się, że ona ani ruszyć się nie może, ani iść nie może, ani nic. Chciała do toalety, toaleta dwa kroki obok, jakoś ją tam zaprowadziłam z synem, ale widzę że to jest męka. Miała całą prawą nogę opuchniętą od stopy do kolana. Czerwona, purpurowa, nadęta, ból niesamowity. Okropność. To, co mi mówili przed przyjazdem, nie było prawdą. Oni się po prostu bali, że jak powiedzą, że kobieta jest leżąca, to od razu będzie cena wyższa, albo że w ogóle nie przyjadę. W którymś momencie Graetel usłyszała jak ja mówię. Zaczęła krzyczeć „Polnische nein, Polnische nein”! Była duża konsternacja. Oni jej tam wciskali kit, że ja jestem Ślązaczką, mam korzenie niemieckie, co nie jest prawdą, bo tylko mieszkam na Śląsku. Naturalnie ja nie umiałam dobrze mówić po niemiecku, akcent miałam inny. Wystraszyli się, że ja ich z nią zostawię. Zrozumiałam błyskawicznie o co chodzi, rozplakałam się i powiedziałam, że jadę do domu. Pakuję manatki i wracam. Synowie próbowali mnie uspokoić, *aber Ewa, aber Ewa*, siadaj, ona jest chora, ona nie wie co mówi. Dzisiaj nie mogę powiedzieć dokładnie co oni wtedy do mnie mówili, bo bardziej czułam, niż rozumiałam co chcą mi powiedzieć. Nakrzyczeli na nią, żeby się uspokoiła, ale to było bardzo przykre. To było dla mnie bardzo bolesne. Potem się okazało, że ona też przeżyła swoje, gehennę wojenną. Jej mąż ponoć nie sprzyjał Hitlerowi. Został strasznie pobity przez gestapo, tak skatowany, że miał całe plecy w ranach. Fred pokazywał mi jego zdjęcia „Ewa popatrz, tak zrobili naziści mojemu ojcu”. Za karę wysłano go na białoruski front. Zginął pod Witebskiem. Graetel była z drugim dzieckiem w ciąży. Peter już nawet ojca nie widział. Po wojnie Graetel miała 25 lat, dwoje dzieci i musiała sobie radzić. W Niemczech był wielki głód,

straszna bieda. Mieszkali w miejscowości Leobschuetz, 5 km od Rosenurga. To była wioska, stamtąd wszyscy pochodzili. Mąż pracował na roli, zaopatrywał armię w żywność, dlatego tak długo nie brali go do wojska. Graetel miała straszny żal do naszych stron, bo tam zginął jej mąż. Dla niej Białoruś czy Polska to było to samo, *egall*. Ja na tematy polityczne nie dyskutowałam, bo słabo znałam język. Jestem człowiekiem, który nie żywi w sobie nienawiści, nie jestem taka pamiętliwa, ach to Szwaby, zrobili tak czy siak. Ja zawsze uważam, że byli różni ludzie, i tu i tam dobrzy, i źli. Różne też były uwarunkowania, nie wszyscy chcieli mordować, ale czasem nie mogli inaczej postąpić – nie poszedłby, toby go zastrzelili.

Syn, który mieszkał dalej, przyjeżdżał bardzo rzadko, ten co był z Leobschuetz, prawie codziennie - on, albo synowa ze swoją siostrą, na rowerkach, zaglądali często. Dawali mi pieniądze, 200 DM na tydzień, to było dużo. Prowadziłam zeszyt, sama to zaproponowałam, wpisywałam wydatki, bo trzeba było ją karmić, poza tym kupowałam różne rzeczy, np. - dość drogie to było - gelbe sacke, żółte worki. W Niemczech sortuje się odpadki, przywiązują do tego dużą wagę. Są odpowiednie pojemniki na różne śmieci, każda gmina ma swój kalendarz i w określone dni są wystawiane wieczorem na ulicę worki. Rano podjeżdża auto i zabiera – oddzielnie odpadki papierowe, oddzielnie biologiczne, plastiki itp. Jeżeli ktoś jest bardzo chory, tak jak było z Graetel, trzeba mu zmieniać pampersy, po to są właśnie te gelbe sacke. Szczelnie się to zamykało, przechowywało w garażu i przed terminem wywozu wystawiało się po kilka tych worków przed dom. Te worki kosztowały 9 DM, to było dużo pieniędzy.

Graetel była z zawodu krawcową, bardzo ładnie szyła. Pracowała też jako krojczyni w fabryce, ale oprócz tego była fryzjerką samoukiem, pięknie robiła fryzury. Przychodziły do niej do domu panie, miała suszarkę, taką stojącą, jak to dawniej w zakładach fryzjerskich, miała fantastyczne nożyczki do cięcia; tak sobie dorabiała. Na początku po wojnie było im bardzo ciężko, na kawałku pola sadzili kartofle i właściwie tylko tym się żywili. Potem ona poznała jakiegoś wdowca. Był podobno fantastycznym człowiekiem. Nie miał dzieci. Ten dom, w którym mieszkała, to był jego dom – wybudował go specjalnie dla niej. Wszyscy, którzy wspominali tego człowieka, mówili o nim bardzo serdecznie i ciepło. Zmarł na raka, na końcu bardzo cierpiał. Nie wiem jak długo Małgosia była sama, nie pytałam. Zanim przyjechałam, ona chyba nie mówiła synom jak bardzo z nią jest źle, ale z sąsiadem, panem Schillerem z naprzeciwka, umówiła się, że wieczorem będzie spuszczała żaluzje i rano, wpół do ósmej, jak nie będą podniesione w jednym pokoju od ulicy, to znaczy, że coś się stało. On miał klucz do jej mieszkania i pewnego razu patrzy się, jest godzina dziewiąta, a żaluzje są spuszczone. Myślał, że może zasnęła, ale nie dawało mu to spokoju, więc poszedł z żoną. Przychodzą, a Graetel leży w korytarzu na podłodze. Ile godzin leżała na tej posadzce to jeden pan Bóg wie. Tak to się zaczęło. Nie umiała podnieść się, nie umiała się pozbierać. Wtedy ją zabrali do szpitala i okazało się, że sama zostać nie może. No a potem przyjechałam.

Do końca się właściwie nie dowiedziałam na co była chora, ale podejrzewam że to był „birger”. Ona strasznie dużo paliła. Jak tylko do tego domu przyjechałam, to zapach papierosów był okropny. Musiałam wietrzyć bez przerwy, zanim to

doprowadziłam do porządku, zanim poprałam te śmierdzące od tytoniu rzeczy. Coś przecież musiałam robić, bo ona ciągle leżała ... Całe lata paliła i zażywała bardzo dużo leków. Szczególnie przeciwbólowych. Musiała mieć krążenie wadliwe, musiało ją bardzo boleć, noga jej puchła, ropiała, było to coś okropnego. Lekarz przychodził raz w tygodniu, nazywał się Sommer, czyli lato, a był śmiertelnie poważny, chudy jak patyk, wielki, nigdy nie widziałam tego człowieka uśmiechniętego. Zawsze wchodził z taką ponurą miną, i tylko przyglądał się. „Wie gehts, wie gehts, wie gehts”, i na tym się kończyło. Ona się uśmiechała, pokazywała mu nogę, i wychodził. W końcu po jakimś tam czasie ja się wkurzyłam i powiedziałam, że tak nie może być. Ona cierpi i trzeba jej coś dać, jakieś leki przeciwbólowe, bo to co ona dostaje, nic nie pomaga. Z siostrą synowej robiłyśmy okłady z kwaśnego mleka, z maślanki, cuda niewidy, okładałyśmy serem, jakimiś tam ludowymi sposobami, żeby jej to choć trochę skłęśło. Pytałam się dlaczego jej nie operują, to Sommer powiedział mi, że jest za stara. Nie mogłam tego pojąć. Małgosia miała 84 lata, była szczuplutka, drobniutka, umysł miała sprawny, była świadoma, nie była kobietą z demencją. Normalnym człowiekiem była, który zdawał sobie sprawę, że będzie tak leżał do końca życia i cierpiał. Ja się z tym lekarzem wyklóciłam. Powiedziałam, że ona jest odwodniona, zażądałam kroplówki, silnych leków przeciwbólowych. No bo skoro jest nie do uratowania, to trzeba przynajmniej ulżyć jej cierpieniom. To tak nie może być, żeby zostawić ją samą sobie.

Na początku spała na łóżku w sypialni, ja byłam na górze. W nocy strasznie głośno krzyczała, musiało ją bardzo boleć. Wołała „Hilfe, Hilfe” „Polizei, Polizei“, zbiegałam z góry, po parę razy, mało co spałam. Było to bardzo stresujące, wiedziałam

że ona cierpi, a ja nie mogę jej pomóc. Pewnego razu zbiegam z góry, patrzę się - jej nie ma. Boże kochany, tak się wystraszyłam, wiedziałam przecież, że ona nie może się poruszać. Wpadłam dalej, patrzę, wystaje kawałek głowy przerażony, zza łóżka. Łóżko było niziutkie i ona spadła. Chciała chyba wyjść, wstać. To była kobieta, dla której takie uwięzienie w łóżku było straszne. Ona walczyła, chciała się poruszać, chciała żyć, chciała chodzić, a nie mogła. Jak ja ją wciągnęłam na to łóżko? Nie mam pojęcia, skąd ja siły wzięłam. Żal mi jej było. Chyba jakoś wtedy myśmy się tak zbliżyły. Ona się zorientowała, że ja jej krzywdy nie zrobię, że mnie na niej zależy, że jestem dla niej dobra. Potem już zawsze mówiła „meine gute”. Byłam mein Schatz, mein Engel, mein Goldschatz - skarbem, aniołem, byłam wszystkim najlepszym co mogło być dla Małgosi.

Ze szpitala ją oddali z ok. 20-centymetrową raną odleżynową na pośladku, przy kręgosłupie. Rozwarta rana, ciało pękło do kości. Jak ją to musiało boleć! Bardzo dużo pomogła mi Berta, siostra Gabi, synowej. Była pielęgniarką z zawodu, starsza ode mnie. Robiliśmy, co mogliśmy, jakie tylko leki, jakie tylko co, maści, kompresy, i proszę sobie wyobrazić, że jej się ten „decubitus” zagoił. Chociaż to jedno cierpienie tej kobiecie odeszło.

Postarałam się, żeby dla niej sprowadzili łóżko ortopedyczne, potem specjalny materac przeciwoleżynowy, podłączony do prądu. Cały czas się poruszał, słychać było powietrze, które wibrowało w środku, falujący. Codziennie ją myłam, karmiłam, dbałam o nią. Jak ona przyszła ze szpitala, nie jadła nic, tylko lody i kawę. *Kaffe immer gut, Kaffe immer gut*. Bardzo lubiła kawę, to już było wszystko jedno czy jej ta kawa szkodzi,

czy nie. Zaczęłam jej kupować takie maleńkie serki smakowe, dla dzieci, z różnymi owocami, te owoce przetarte, więc łatwo było przełknąć. To jej bardzo smakowało. Poprawiła się, na buzi tak ładnie wyglądała. Przestała krzyczeć. Na początku sąsiadki się zlatywały, szczególnie wścibska była taka Eli. Myślały chyba, że Polka to nie wiadomo co chce jej zrobić, morduje ją tam czy co.

Wszyscy czekali że ona umrze, a ona nie chciała umierać. Już po śmierci Graetel dowiedziałam się, że synowie uważali, że matka umrze po 2 tygodniach, bo lekarz w szpitalu powiedział, że to tyle potrwa, no to sobie zatrudnili na te ostatnie dni Polkę. Tymczasem żyła jeszcze prawie 0,5 roku. Byłam tam 3 miesiące, potem pojechałam do domu, na zastępstwo przyjechała inna pani. Jak wróciłam po miesiącu, to Małgosia wyglądała już dużo, dużo gorzej. Zmieniła się niesamowicie. Ta pani wyciągnęła jej szczękę, bo ponoć raz jej się mało tą szczęką nie zadławiła, a człowiek bez szczęki niestety wygląda już o wiele starzej i o wiele gorzej. Było z nią naprawdę krucho.

To był sierpień. Przyjechałam razem z córką, która zdała maturę i dostała się na studia, na wymarzoną architekturę. Oni mi to zaproponowali, powiedzieli - cała góra jest wolna, niech córka przyjedzie na wakacje, czy mąż, czy ktokolwiek, żebyś nie była taka sama. Peter pracował w obsłudze technicznej na lotnisku w Monachium. Wziął córkę, pokazał jej lotnisko, była w kabinie pilota, dla takiej młodej dziewczyny to było duże przeżycie. Co muszę powiedzieć dzisiaj, za co jestem wdzięczna Gabi i Fredowi. Oni mówili: Ewa wyjdź z domu. Idź przejdź się, idź do parku, na spacer, my nie będziemy mieć nic przeciwko temu, żebyś poszła nie tylko na zakupy. Nie możesz tak cały czas siedzieć. Więc chodziłam do parku nad staw, karmiłam kaczki, one już potem

wyczekiwały aż przyjdę. Raz Gabi zaprosiła mnie do kawiarni. Pojechaliśmy samochodem do miasta, do centrum, bardzo piękna kawiarnia. Pooglądałyśmy sklepy. Ona chciała, żebym się trochę rozerwała, ale muszę powiedzieć, że to dla mnie było okropne, ponieważ chciałam jej dużo przekazać, a nie umiałam i czułam się bardzo źle. Zawsze mówię moim dzieciom: uczcie się języków, bo jak gdzieś pojedziecie, będziecie się czuć fatalnie. Człowiek zna swoją wartość - nie jestem przecież kretynką, idiotką, ciemną babą, a czułam się strasznie. Siedziałam w tej kawiarni jak na tureckim kazaniu, ona coś do mnie mówiła, ja prawie nic nie rozumiałam, ona mówi szybko, trochę dialektem. Więc siedziałyśmy tak naprzeciwko siebie, piłam kawę i tak się zastanawiałam co ona o mnie myśli. Było mi bardzo źle. Na szczęście takie wyjście się więcej nie powtórzyło. Jakoś bardzo mi wtedy zależało co kto sobie o mnie pomyśli. I to był duży bodziec dla mnie, dla mojej ambicji. Wtedy postanowiłam, że wezmę się za naukę, żeby porządnie znać język.

Z Małgosią było coraz gorzej. Była ewangeliczką, niepraktykującą, chyba tak jak większość tam. Synowie zadbali, żeby przychodziła do niej pani pastor - Monika, miła, sympatyczna kobieta. Jak ona przychodziła, to ja wychodziłam, żeby mogły sobie porozmawiać bez świadków. Pewnie zaopatrzyła ją w to w co powinna od strony duchowej.

Te ostatnie dni Małgosia chciała, żebym była jak najdłużej przy niej. Wzięłam sobie fotel, przystawiłam przy oknie i robiłam na drutach sweterek dla jej prawnuczki, bardzo pięknie mi wyszedł, aż nad podziw. Pokazywałam Małgosi, strasznie się jej podobało. Ona sama robiła dużo różnych ozdóbek, pięknie robiła na szydełku i na drutach. W dniu,

w którym miała wyjeżdżać córka, to było 26 sierpnia, poszliśmy jeszcze na zakupy. Była bardzo piękna pogoda. Ja byłam jakoś niespokojna, nie chciałam iść, ale córka: a mamó, jeszcze to, jeszcze to, jeszcze tamto, no więc poszliśmy na te zakupy. Jeszcze jakieś zdjęcia, jeszcze jakaś fontanna. Tam na zakupy chodzi się z wiklinowymi koszami, miałyśmy ten kosz już cały pełny i mówię: chodź do domu, a ona ciągle coś jeszcze chciała kupić, jak to młoda dziewczyna. Wreszcie wróciliśmy, było około pierwszej. Przy wejściu do domu stała ława, postawiłam kosz i powiedziałam *Ich bin da, Graetel, Ich bin da*, żeby ona słyszała że już jestem. Weszłam do pokoju, i tak mnie coś tknęło. Podchodzę do Małgosi, patrzę się, a po policzku powolutku spływa jej z oka łza. Westchnęła i koniec.

W pierwszym momencie nie dotarło do mnie, że ona umiera. Była taka specyficzna cisza, tak to było jakoś, jakby zamarło powietrze. Wzięłam ją za rękę, łezka jej spłynęła. Pomyślałam sobie - ona słyszała, że ja już jestem, musiała słyszeć. Jeszcze taki cichusieńki pogłos, jakby od oddechu. Przez chwilę nie wierzyłam, że ona nie żyje. Nogi wrosły mi w ziemię. To był pierwszy raz w moim życiu kiedy tak bezpośrednio zetknęłam się ze śmiercią. Córka przyleciała z góry, coś tam wołała, a ja tylko powiedziałam spokojnie: bądź cicho, myślę że Małgosia nie żyje. Idź po lusterko. Wiedziałam, że trzeba sprawdzić lusterkiem. I tłumaczę jej gdzie w pokoju jest lusterko, że jest w witrynie, okrągłe małe lustreczko, na nim stoi łąbędź i maleńkie łąbędzie. A ona się tak biedna zdenerwowała, tak się wystraszyła, że nie umiała tego lusterka znaleźć, słyszałam jak tam wszystko brzęczy. W końcu znalazła, przyłożyłam je do ust Małgosi, niestety, nie ma żadnej pary, nic. Oczy miała przymknięte, więc jej jeszcze

domknęłam, no i pomodliłam się. Mówię: córeczko, trzeba świece zapalić. Pomodliłyśmy się obydwie, zsunęłyśmy trochę rolety. Mówię: Marysiu, idź do ogródka i przynieś różę. Położyłyśmy tą różę na ręce Małgosi.

Jak tylko przyjechałam, na samym początku dostałam od Berty instrukcję jak należy się zachować jak Graetel umrze, że trzeba zrolować ręcznik, podłożyć pod brodę, że trzeba z tyłu wyciągnąć poduszkę. Wszystko to zrobiłam jakoś tak spokojnie i zadzwoniłam do Freda. *Alfred, deine Mutti ist gestorben. Es tut mir leit.* A on zaczął strasznie krzyżeć. Szybko przyjechali, natychmiast prawie, te parę kilometrów to chyba jechał jak wariat. Przyjechali, zawiadomili zakład pogrzebowy. O piątej zabrali Małgosię, a o siódmej córka wyjeżdżała do Polski. Zachowywali się bardzo naturalnie, chyba ja najbardziej płakałam, bo dla mnie to było przeżycie. Gabi spytała się mnie, czy ja się boję sama spać, no bo mogłabym u nich, ale tak zrozumiałam, że oni jakichś gości mają, czy coś zaplanowane, wyczułam, że moja obecność jest tam niepożądana. Więc powiedziałam że nie, że się nie boję. Pomyślałam sobie, dlaczego się mam bać, w końcu ja jej nic złego nie zrobiłam, tylko dobre. Marysia zachowała się bardzo ładnie, naturalnie była wzruszona i przestraszona, tak stanęła koło mnie i powiedziała: mamo, ale ty wiesz, że jej duch tutaj jest, że ona nie opuściła tego domu, ty wiesz? A ja odpowiedziałam: wiem dziecko. Ona tak jeszcze tu będzie, ale ja się nie boję, ja jej nic złego nie zrobiłam, więc nie będzie mnie straszyć. Jednak mówiąc szczerze, nie było mi miło. Było mi bardzo przykro. Na szczęście, parę ulic dalej mieszkała pani Helena, Polka, starsza pani, przemiła, nieraz mnie odwiedzała. Pani Hela przysła do mnie i posiedziała do późna, żeby nie było mi smutno, potem ją odprowadziłam i wróciłam.

Jak weszłam do tego pustego domu, poczułam się okropnie. Wszystkie okiennice pozamykane, cisza grobowa, brakuje Małgosi, brakuje mi tego obowiązku, że trzeba do niej zaglądnąć, że trzeba coś przyszykować. Poszłam na górę do swego pokoju, dobrze, że miałam książeczkę do nabożeństwa. Ktoś może się śmiać, ale to bardzo pomaga. Wzięłam tą książeczkę, położyłam się do łóżka i zaczęłam odmawiać litanie za zmarłych. Oczywiście sobie popłakałam, bo żal mi jej bardzo było, ale pomyślałam, że wreszcie przestała cierpieć, wreszcie będzie miała spokój. I tak się pomodliłam, zgasiałam światło i zasnęłam jak kamień. Później robiłam tak co wieczór. Zanim szłam spać, to się modliłam, wspominałam, i to mi chyba pomogło. Nie jest to przyjemnie zostać samym w takim domu dużym, gdzie ktoś odszedł. Jeszcze to, że przez te okiennice to jest tak wszystko odizolowane, że się człowiekowi wydaje, że się udusi. Ja muszę mieć „luft”, ja muszę mieć powietrze, muszę wiedzieć, że w każdej chwili mam możliwość ucieczki. A w tym domu zamykało się wszystko szczelnie, człowiek był taki odizolowany i taki sam.

Rodzina Graetel chciała, żebym została. Miałam bilet wykupiony na 15 września, to pamiętam doskonale, no i zostałam. Dla nich to było na rękę, trzeba było posprzątać, zlikwidować mieszkanie, bo oni chcieli sprzedać jak najszybciej ten dom. Przychodzili krewni, znajomi, ten chciał to zabrać, ten taki mebel, ten co innego, ktoś musiał być ciągle w domu. Kwiatki plewiłam, grządki podlewałam, w altance zasadziłam petunie. Fred mówił: po co to robisz, po co robisz, to wszystko będzie sprzedane, ale ja musiałam coś robić. Byłam na pogrzebie, widziałam całą tą ceremonie. Stypa mnie zszokowała, bo oni są tak hałaśliwi, tak głośni, spontaniczni jacyś, ja chyba byłam jedyną osobą,

która tam rzeczywiście żałowała Małgosi, ja się upłakałam najwięcej z nich wszystkich. Dla mnie to było coś okropnego – ktoś umiera, odchodzi, a wszyscy się cieszą. Stypa była w lokalu. Kawa, ciasto, herbata, wino jak ktoś chciał, nie było żadnego obiadu ani poczęstunku dużego. Przyszło sporo gości. Wyszłam na zewnątrz, bo nie mogłam tego słuchać, śmiali się, chichrali, widocznie jedyna okazja żeby się spotkać, było wesoło, głośno. Raziło mnie to. To jest jakiś brak szacunku dla zmarłej osoby, ale widocznie tam tak jest przyjęte. Tak sobie nawet potem pomyślałam, że teoretycznie nasza wiara też mówi, że powinniśmy się cieszyć, a nie rozpaczać za tym kimś, bo jemu już jest dobrze, nie cierpi, bo jest, jak to mój mąż mówi „w domu Ojca”. Małgosia została skremowana. Jest pochowana w Leobschuetz, tam gdzie chciała, tam gdzie się urodziła.

Myślę o niej często. To się nie wyrzuci z pamięci. Wspominam, myślę. Ona bardzo kochała swój ogródek. Uwielbiała róże. Miała przepiękne kwiaty wiosenne – całe klomby. Powiedziała mi, że 200 cebulek zasadziła na kolanach, bo już nie mogła chodzić, to tak na kolanach pełzała, żeby je włożyć do ziemi. I już ich nie zobaczyła... Ogródek był bardzo romantyczny. Wychodziło się z pokoju dziennego, to się nazywa Wohnzimmer, na trzy schodki. Ja tam często siadałam, miałam zaraz za ścianą okno i mogłam słyszeć gdyby wołała czy coś chciała. Wiedziała, że jestem tu obok, że czuwam, że nie jest sama. Siadałam na schodkach i patrzyłam na świat. Była tam bardzo wysoka tuja, na samym szczycie zawsze siedział kos i pięknie śpiewał. Na końcu ogrodu rósł cały rząd świerków, dorodnych wysokich świerków, dołem podstrzyżonych. Mnóstwo ptaków tam mieszkało. Otwierałam szeroko okna, żeby ona też słyszała. Opowiadałam jej zawsze co kwitnie, przynosiłam kwiaty. Przy łóżku miała poręcz na kroplówkę, tam

jej przyczepiałam codziennie różyczkę, dawałam jej powąchać. Małgosia miała na ścianie wyhaftowany obrazek, który przedstawiał bratki. Piękna kolorowa kompozycja, same bratki, śmiejące się, ładne. Spytałam czy ona to sama robiła, a ona powiedziała *meine Mutti*. Stara kobieta, nad grobem już, a powiedziała to tak ciepło, „moja mamusia to robiła”, że mnie aż coś za serce chwyciło. I pomyślałam sobie, jak ty tak mówisz o swojej matce, to musiałaś chyba być dobrym człowiekiem. Po śmierci Małgosi Gabi, synowa, wpadła w jakiś szal – wszystko wyrzucać. *Alles weg!* Niektóre rzeczy były takie śmieszne, ja to do domu poprzywoziłam dla wnuków, jakiegoś krokodylka wypchanego, pierdółki takie. Jak zdejmowałam te bratki ze ściany, ona stała nade mną i powiedziała, że mam to wyrzucić. Pierwszy moment był taki, że żal mi było wyrzucać to, co mamusia Graetel zrobiła, ale głupio mi było powiedzieć. Jakoś tak szybko myśli leciały, nie chciałam, żeby pomyślała, że biedna Polka zbiera nawet stare wypłowiałe obrazki. Więc wyrzuciłam. Do dzisiaj mam żal do siebie i jakiś niesmak. Dlaczego ja to wyrzuciłam? Potem gdzieś po roku, dwóch sama zaczęłam haftować obrazki, ale takiego wzoru z bratkami nigdzie nie znalazłam. Bardzo żałuję, że nie potrafiłam wtedy więcej mówić. Małgosia i tak mnie rozumiała, bo wydaje mi się, że człowiek jak chce, potrafi dużo przekazać mimiką, gestami, ale gdybym znała język, byłoby łatwiej i mogłybyśmy się lepiej poznać.

Była taka jedna zabawna sytuacja, jak ona bardzo chciała mi dać prezent. Powiedziała, że ma dla mnie *Geschaenk*, ja szybko sprawdziłam w słowniku – podarunek. I mówi *Schrank, Schrank*, że to jest w szafie. Szafa była na całą ścianę, do sufitu, olbrzymia. Ciuchów mnóstwo. Graetel lubiła się ubrać, lubiła tańczyć, lubiła się

bawić, była bardzo wesołą, rozrywkową kobietą. No i chciała mi dać prezent, z szafy. Więc wyciągam wszystko, pościel, ręczniki, bieliznę, po kolei. Wszędzie przeszukałam i nie ma. Ona się już denerwowała i cały czas pokazywała, że takie małe pudełeczko. Ja sobie skojarzyłam, że jak małe pudełeczko, to może ona tam schowała jakiś pierścionek czy drobiazg z biżuterii. I tak się wystraszyłam! Pomyślałam sobie: no tak, teraz będzie, przyszła Polka, i ukradła. A przecież jak ona była w szpitalu, to synowe z pewnością już dobrze wszystko przeszukały! Moja pani, która nas posyła, mówiła mi: Ewa, one zanim Polka przyjedzie, to wszystkie wartościowe rzeczy zabierają, tam już nic cennego nie ma, możesz być pewna. Bo ja się bałam, żeby nie było, że człowiek coś wziął. No i teraz gorąco mi się zrobiło i słabo na przemian, ręce mi się trzęsą, no nie, będzie że złodziejka i koniec, co ja teraz zrobię. Wreszcie patrzę się, coś tam na dole leży. Wyciągnęłam... Proszę zgadnąć co to miało być dla mnie, co ja sobie zarobiłam, zasłużyłam ... Mydełko (śmiech), mydełko!!! Mydełko było hiszpańskie, pachnące, na opakowaniu, czarnym ze złotym, była piękna pani tańcząca flamenco, w czerwonej sukni z falbanami, w koronkowym szalu. Miałam je bardzo długo, specjalnie wzięłam do domu, żeby pokazać rodzinie.

BARONOWA

Jesienią, w październiku - to było w 1999 roku - po krótkim pobycie w domu dostałam ofertę pracy do nowej rodziny, do Frau Baronin. Przed wyjazdem dowiedziałam się, że muszę się zwracać do tej pani wyłącznie Frau Baronin, inaczej mi absolutnie nie wolno.

Oczywiście obowiązuje tam etykieta, bo to jest kobieta starsza, baronowa z krwi i kości, kultywuje tradycje rodzinne, jest to zupełnie coś nowego, zupełnie inne środowisko niż to, w którym się obracałam. Mówiąc szczerze, oprócz wielkiej ciekawości, to miałam trochę stracha, czy się tam odnajdę, czy będę umiała się właściwie zachować.

Przyjechałam nad ranem. Zamek był położony na szczycie wzgórza, w małej wiosce Regensburg, kilometr od miasteczka. Trochę kluczyliśmy, ale wreszcie znaleźliśmy. Najpierw park, potem podjazd. Wjechaliśmy w ogromne podwórze: zabudowania dworskie, kościół, rozległe place - taki stary folwark. Dalej była brama wjazdowa, przepiękny, owalny, olbrzymi gazon, z dwóch stron porośnięty różami. Podjazd wysypany żwirkiem, bardzo szeroki. Później dowiedziałam się, że dawniej zajeżdżały tam karoce zaprzężone w kilka par koni, wydawali bale, towarzystwo się zjeżdżało, rozlokowani byli wszyscy właśnie na tym podwórku. A po karocach przyszła kolej na limuzyny. Ogród był ogromny, przepiękne stare drzewa, robiło to wrażenie. Dom cały porośnięty dzikim winem, które akurat wtedy, jesienią, czerwieniło się i złociło. Mnóstwo kwiatów, mnóstwo róż, mnóstwo przestrzeni, taka naturalna łąka, Niemcy mówią *Wiesa*. Najstarszy syn, dziedzic, Franz Josef, przyjeżdżał od czasu do czasu i zajmował się strzyżeniem trawników. Jemu to sprawiało przyjemność, a z drugiej strony nie kosztowało nic rodzinę, co było bardzo ważne, jak się szybko zorientowałam (śmiech). Pani naturalnie spała. Przyjęli mnie we dwójkę: Franz Josef i ulubiona średnia synowa, Kornelia von Hirschwald - tak się nazywał ten ród. Ona była również prawdziwą baronówną z domu, bardzo wcześnie została osierocona przez rodziców i Frau Baronin była dla niej właściwie jak matka. Trzeba przyznać, że Kornelia

to była wyjątkowa kobieta. Miała może koło 50-ki, niesamowicie taktowna, wyważona, opanowana i taka łagodna, no wyjątkowy człowiek. Ona właściwie była jedyną osobą, która umiała rozmawiać z Frau Baronin, którą Frau Baronin wyraźnie faworyzowała, no i z którą umiały się jakoś tak i dogadać, i porozumieć. Lubiły się. Była takim łącznikiem między rodziną a Frau Baronin, tak samo między nami, tymi poszczególnymi paniami – jeśli były jakieś nieporozumienia, to się zwracało do Frau Kornelii i ona próbowała jakoś ze swoją teściową dojść do porozumienia, służyła jako mediator. Była miłą kobietą. Ja też ją polubiłam.

Rodzina von Hirschwald była „wiekowa”, któryś z praprzodków, rycerz, dostał rozległe ziemie i zamek nadany przez króla, nawet tam byłam, kilkanaście kilometrów dalej, takie ogromne zamczysko z wieżami, średniowieczne. Stamtąd wywodziła się cała linia baronów von Hirschwald. Rodzina się powiększała, łączyli się z innymi rodami, ale w którymś momencie doszło do rozłamu na tle religijnym i ta część rodziny, która została w tym wielkim zamku, to są katolicy, powiedziałabym do przesady praktykujący, natomiast baronowa i jej mąż byli ewangelikami. Baronowa z domu była von Rosendorn, jej rodzina pochodziła z Monachium. Z mężem podobno poznali się w Berlinie. Jako młoda dziewczyna sprowadziła się na ten zamek i nie opuszczała go przez ponad 60 lat. W czasie wojny jej mąż był admirałem, kierował flotą na Morzu Czarnym. W Odessie został internowany, potem był w jakichś łagrach pod Moskwą, ale ponieważ był ważną osobą, został wymieniony na wysokiego rangą jeńca radzieckiego. Wrócił na zamek, ale zdrowia nie odzyskał. Był bardzo schorowany, zmalretowany, zmarł w wieku 62 lat. W zamku wisiały obrazy malowane przez

jakiegoś Rosjanina, artystę malarza - pejzaże Odessy. Baron ponoć ukochał Odesę, ukochał Krym, jemu się tam strasznie podobało i ten malarz podarował mu swoje obrazy jak się rozstawali. Słyszałam, że miejscowi ludzie pomagali tam w jakiś sposób przeżyć tym uwięzionym Niemcom. Nie wiem jak ta historia naprawdę wyglądała. Chyba nie jest wszystko czarne i białe, na pewno nie. Przez te 2 lata mojego pobytu wszyscy ludzie wyrażali się o tym człowieku z wielką sympatią. Zresztą synowie, szczególnie Franz Josef, zawsze mówili, że ojciec był fantastyczny, że był bardzo dobrym człowiekiem.

Podczas wojny Frau Baronin było bardzo ciężko. Została sama z trójką dzieci, musiała o wszystko dbać. Całe gospodarstwo na jej głowie – pola, lasy, łąki. Mieli ogromną ilość koni, wtedy się wszystko końmi robiło. Oglądałam stare albumy, stare zdjęcia czarno-białe, było ich mnóstwo – ze żniw, z dożynek. Sami wyrabiali piwo, mieli gorzelnię. Utrzymywali wielu ludzi, dawali im zatrudnienie, a jak nie mieli czym zapłacić – karmili. Nawet w samym zamku, w bocznej części, wielu miało przez jakiś czas schronienie. Dużo było zniszczeń po wojnie, a zamek jakoś dzięki Bogu ocalał. Podobno bardzo dużo robili dla innych, szczególnie baron. Ona chyba była i przepracowana, i zgorzkniała, bo cała jej młodość upłynęła w samotności, na borykaniu się z losem, z wojną. Nie miała wiadomości od męża, nie wiedziała czy żyje, no i została z tym wszystkim, a chciała, żeby to nie podupało, żeby ludzie przeżyli, żeby mieli co jeść. Przez wiele lat u Frau Baronin była pomoc, która wychowała jej dzieci. Na końcu niestety z tą panią to się podobno tak strasznie żarły, że aż było nie do wytrzymania i ta kobieta, na stare lata, mając własny kąt, mieszkanie w zamku, jakby tą emeryturę, musiała się zabrać do domu starców. Krótco tam żyła. Gdy zmarła, Franz Josef

powiedział, że nigdy nie wybaczy tego matce. Nie wiem jak to tam między nimi było naprawdę. Franz Josef twierdził, że matka była dla nich oschłą, jak byli mali nigdy nie miała dla nich czasu, że udzielała się towarzysko, nie była wyrozumiała dla ojca. Czułością darzyła ich tylko ta niańka, tą całą trójkę, ona zastępowała im matkę. Być może tak było, ale mogło też być tak, że baronowa miała na głowie mnóstwo spraw gospodarskich i różnych innych związanych z utrzymaniem, a oni jako dzieci tego nie rozumieli. Frau Baronin była kiedyś bardzo piękną kobietą. Na pewno była towarzyska, na pewno lubiła się bawić, przyjmować gości, do końca życia grała w brydża. Może nie miała czasu dla dzieci, trudno powiedzieć, a może nie była taką matką opiekuńczą, różnie to jest, a dzieci jej to później pamiętały. A ona na pewno też była na swój sposób dzielna.

Mieszkałyśmy tylko dwie – Frau Baronin i ja. Frau Baronin miała do pomocy Lotte, to była taka *Haushelpterin*, gospodyni, która trzymała wszystko w rękach, robiła zakupy, sprzątała, różnymi gospodarskimi sprawami się zajmowała. Ja miałam tylko gotować dla Frau Baronin i dla mnie, no i chodzić z pieskiem na spacer. Piesek, Rufus, był foksterierem. To był pupilek, ulubieniec, ogromna miłość Frau Baronin, no i tą miłość musiała dzielić teraz ze mną, ponieważ Rufus mnie uwielbiał, a ja jego też i musieliśmy się chować z tą naszą wielką miłością, bo ona była zazdrosna. Rufus na pewno był baronem wśród psów, tak uważam. Był niesamowicie inteligentny i mądry. Lubił dobre kiełbaski, takie *Leoniwurst*, albo jeszcze inne, ekstra dla niego się kupowało - drogie, normalne, dobre kiełbasy. Uwielbiał pasztetówkę, a Frau Baronin to tępiła. Zakazywała wprost: nie dawać mu pasztetówki, bo będzie za tłusty i to źle jemu działa

na sklerozę. Rufus miał już prawie 12 lat, jak ja tam przyszłam. Strasznie o niego dbała, bez przerwy z nim do lekarza jeździła, płaciła niesamowite kwoty za leki. *Haushelpterin* Lotte była oburzona jak można tyle pieniędzy na psa wydawać. Specjalne jedzenie musiał jeść, ale on tego i tak nie chciał – przychodził do kuchni, zebrał, stawał pod lodówką, pysk do góry zadzierał i czekał. Nieraz się bałam, że ona gdzieś tam może zaglądnąć do tej kuchni i zobaczyć, więc mówiłam: Rufus, idź stąd – on wszystko rozumiał! To był strasznie mądry pies, on i po polsku rozumiał i po niemiecku, wszystko co się do niego mówiło. Stał, stał, stał, w końcu jak się wkurzył – głowę do góry podniósł – szczekał. No to Frau Baronin ze swojego pokoju: *Ewa, Ewa, warum er belt?* Ja mówiłam: *ich habe keine Anung* – nie mam pojęcia. I do niego: *Rufus, was machst du, was machst du!!!* Ale musiałam cichutko otworzyć lodówkę i coś mu dać, żeby się nażarł i przestał szczekać. Dwa razy dziennie chodziłam z Rufusem na spacer - to były dla mnie bardzo miłe chwile, duża przyjemność. Bardzo lubiłam tego psa, spacerować to był mój relaks, mogłam wyjść, obejrzeć świat. Naokoło były pola i lasy, należące do rodziny. Nie miałam ciężkiej pracy, nie interesowało mnie pranie, prasowanie, sprzątanie, jedynie utrzymać w porządku mój pokój i kuchnię.

Zamkiem byłam oczarowana i zachwycona. Jak się później dowiedziałam, wcześniej to był stary, zbudowany w XIV wieku klasztor, mieszkali tam mnisi, chociaż nie widać było, żeby pozostały jakieś cele, widocznie wszystko zostało przerobione. Przepiękny widok się roztaczał, również z okna mego pokoju, no - jak w bajce. Ale bajka to to nie była, przynajmniej na początku. Było koszmarne, ponieważ ja nie wiedziałam co ona chce! Ja jej nie rozumiałam, a ona chodziła nadmuchana. Chyba

chciała nas traktować jak służbę, może jako taką „przynieś, zanieś, pozamiataj”, czy ja wiem, a ja bym sobie na to nie pozwoliła. Ja powiedziałam Frau Kornelii, że ja jestem *Apothekaerin von Beruf*, czyli aptekarka z wykształcenia, ja wszystko zrobię, ugotuję, postaram się, ale ja jestem *stolz*, czyli dumna, i nie może ktoś na mnie krzyżeć, i nie wiadomo czego chceć ode mnie. Jak nie podoba się, to ja wrócę do domu, ja nie muszę tu być. I chyba wytłumaczono Frau Baronin, że trzeba troszeczkę inaczej postępować, chociaż myślę, że ona wcale nie dała się przekonać, tylko zadecydowały finanse. Bo w sumie my jesteśmy bardzo tanią siłą roboczą. Niemcy też ubożeją, pieniądze coś dla nich więcej znaczą jak kiedyś. Te 24 godziny na dobę być, po niemiecku się mówi *rund in die Uhr*, bez przerwy, na zawołanie, za takie pieniądze, to ona by żadnej Niemki nie dostała. Niemka by była dwie godziny, trzy godziny i baronowa musiałaby się pilnować, żeby nie pyskować, nie okazywać swego niezadowolenia czy jakichś tam humorów, na co sobie wobec nas pozwalała. Nie hamowała się - jak była zła, to chodziła jak chmura gradowa, nieraz nie wiadomo było o co jej chodzi, czy jej nie smakowało, czy co.

Zamek był ogromny. Wszystkie pokoje przepiękne, takie prawdziwe komnaty. Cudowne drzwi kute w żelazie, koronkowa robota. Prześliczne wyjście na olbrzymi taras, z tarasu zejście do ogrodu. Z mojego okna kuchennego widok był właśnie na ten ogród, na bramę wjazdową, na wieżę kościelną z zegarem – zawsze wiedziałam o której obiad mam podać. W sieni stała ogromna komoda. Frau Kornelia wysunęła mi szuflady i ja patrzę na sztuce: mój Boże, w końcu nie jestem głupia i sztuce niejedne widziałam, i też uważam, że w domu mam ładne rzeczy, zawsze przywiązywałam do tego wagę. No ale tam to zgłupiałam, bo niektóre były takie, że w ogóle nie miałam pojęcia do

czego służyć. Więc sobie wzięłam zeszytik i to wszystko zapisywałam: jaka ma być zastawa do śniadania, jaką używać do obiadu, jaki serwis, jakie filiżanki, ile minut ma być herbata parzona, to było wszystko bardzo ważne. Do zamku wchodziło się bocznym wejściem i najpierw był hol, w którym wisiało - któregoś dnia naliczyłam - 98 poroży. Przeróżnych. Niektóre takie, że nie wiedziałam nawet co to za zwierzęta. Frau Baronin jeździła do Afryki na safari, do kuzynki, mają tam swoje plantacje kawy. To wszystko były jej trofea. Zwierzęta przeznaczone do odstrzału, poroża miały nieforemne. To nie było tak, że miała zamiłowanie do mordów i chciała się wykazać jak największą ilością ukatrupionych zwierząt; te zwierzęta były selekcjonowane. Tam było ich bardzo dużo i niszczyły lasy, a oni sprzedawali do Ameryki drzewo na maszty do jachtów, tak że bardzo dobry interes mieli z tych lasów, dlatego dbali o nie. Frau Baronin do końca życia polowała. To jest sport elitarny, również w Niemczech, bardzo drogi. Tam wszyscy utytułowani ludzie polują, bo chyba tak wypada. Meble były przepiękne, stare. Szafa, w której były naczynia, zajęłaby co najmniej jedną całą ścianę w naszym mieszkaniu. Była olbrzymia, brzuchata, wielodrzwiowa, serwisy przeróżne, Wileroy Boch, inne znanych firm. W pięknej serwantce, czy jakby to nazwać, witrynie, był zbiór figurek z porcelany, były talerze z Miśni. Baronowa o każdej figurce mogła coś powiedzieć. Miała kominek, nieużywany niestety, ale na nim stała cała kolekcja jelenków. Ponieważ to była rodzina von Hirschwald. Dużo miała ładnych rzeczy. Cenne książki, które myszy jadły, jak się potem okazało, ale baronowa powiedziała, że w takim starym zamku myszy muszą być. Sama z lubością zakładała w kominku pułapki na myszy i się bardzo cieszyła, jak się jakieś myszy znalazły.

Miałam fantastyczny pokój, własną łazienkę, telewizor. Nad łóżkiem był baldachim, ale mam chyba klaustrofobie, więc źle się czułam nawet tylko muślinem przysłonięta, wolałam żeby mnie coś pogryzło, niżbym miała pod takim czymś spać. Za to Frau Baronin zawsze spała pod baldachimem. Jak nie było Lotte, w sobotę czy niedzielę, to do moich obowiązków należało zrobienie łóżka. Spała przy otwartym oknie. Wstawiała, otwierała cały ten baldachim, i pościel się musiała przewietrzyć. Przed śniadaniem, czasem po, musiałam prześcielić, a potem trzeba to było zasłonić. Wieczorem musiałam zdjąć kapę, tą pierzynkę leciusieńką jak puch tam jej odwinąć, wszystko przygotować do spania, i koniecznie zasłonić ten baldachim. A ja głupia, za pierwszym razem tego nie wiedziałam, Lotte mi nie wytłumaczyła. Tak ładnie odścieliłam i rozsłoniłam to, jak gdyby robiąc zaproszenie do spania. Jak ona się wściekła. Ja nie wiedziałam o co jej w ogóle chodzi. Biegała tam i z powrotem, latała - co ja robię, co ja robię, po co ja to otwieram, przecież to ma być zamknięte. Tam powpadały różne owady, komary, muchy i ona teraz tam ma pod tym spać? Boże kochany, ja wtedy dostałam takie piórka specjalne do ręki i musiałam to wszystko wyganiać. Właściwie nic nie widziałam, ale wyganiałam, gorliwie, przestraszona.

Na górze miał swoje apartamenty Franz Josef. Ściągał tam różne starocie z epoki, obrazy, pracował na aukcji dzieł sztuki z antykwariatów i zawsze jak miał okazję, to zwłókł coś do domu i meblował sobie górę. Lotte kiedyś mnie się zapytała: Ewa, byłaś na górze? Ja mówię, że nie byłam. Z korytarza były duże kręte schody wiodące na górę, ale ja nie śmiałam tam wejść, bałam się ruszyć gdziekolwiek, że ktoś zauważy i pomyśli, że jakaś wścibska baba przyjechała, szuka po kątach i patrzy co gdzie jest. Byłam

ciekawa, ale nie wyobrażałam sobie, że mogę tam sama wejść bez pozwolenia. A Lotte mówi: ja ci pokażę, chcesz zobaczyć? Frau Baronin akurat gdzieś z jakąś wizytą pojechała, chyba do fryzjera, bo dbała o siebie, no i poszłyśmy na górę obejrzyć te cuda u Franza Josefa. Można się tam było zgubić, bo tych zakamarków, przejść, pokoików mnóstwo, góra jeszcze bardziej niesamowita niż dół była. No i dobrze, obejrzałyśmy, zdążyłyśmy zbiec przed przyjazdem Frau Baronin. Wieczorem ja się rozbieram, miałam na sobie tą bluzeczkę co dzisiaj, Matko Boska, nie mam jednego guzika. Myślę sobie, Boże, gdzie ten guzik? Wiem, że go miałam, nie chodziłabym przecież bez guzika. Doszłam do wniosku, że nic, tylko ja musiałam na górze ten guzik zgubić. Teraz Franz Josef przyjedzie, bo on wpadał często na sobotę, na weekendy, niech on ten guzik zobaczy, no to sobie pomyśli skąd ten guzik się tu wziął - to jest guzik od damskiej bluzeczki. Na pewno Ewa tu była i sznupała po kątach. Boże, co tu teraz zrobić? Była noc. Wzięłam latarkę, bałam się oświecić światła, wszystko skrzypiało, ogromne stare zamczysko, trzeszczące schody, ja po ciemku z duszą na ramieniu, na bosaka z latarką, weszłam na tą górę, i szukam po wszystkich pokojach czy gdzieś jest ten guzik nieszczęsny. Tam były wszędzie parkiety mozaikowe, mało dywanów, tylko gdzieśgdzie jakiś „pers”, więc widać było jakby coś leżało na podłodze. Już zrezygnowałam i miałam zejść na dół, kiedy w końcu znalazłam ten guzik. Leżał dosłownie przed drzwiami jego sypialni. Chwała Bogu. Później jak opowiadałam Lotte o tym guziku, to ona się śmiała do łez.

Frau Baronin bardzo przestrzegała dawnych porządków. Jak się zbliża okres adwentu, to tam się piecze ciastka, obdarowuje się przyjaciół, znajomych. Na Wielkanoc

z kolei podarowuje się dzieciom drobiazgi. Ona bardzo tego pilnowała. We wsi było przedszkole założone przez dziadka barona, jej męża. Do końca życia zawsze dawała prezenty dzieciom w tym przedszkolu. Myśmy je zanosily. Tak samo rodzinom dawnych pracowników, którzy już nie żyli, jakieś drobiazgi, słodycze. Pamiętała o wszystkich urodzinach, każdy od niej dostał prezent. To tak jak dawniej właścicielka ziemiska obdarowywała tych, do których miała zaufanie, przekonanie, że dobrze opiekują się jej dobrami. Kiedyś się czytało o tym w książkach, a tu zobaczyłam na własne oczy. Jeżeli ktoś z rodziny miał przyjechać na obiad, czy herbatkę, to musiał się anonsować odpowiednio wcześniej, nawet tydzień naprzód. Ja już wtedy wiedziałam, że na obiedzie będzie np. Franz Josef, albo wnuk Wilhelm. Oni się tym bardzo przejmowali. Była zachowana ostra etykieta. Nie można było tak z biegu wpaść i powiedzieć: cześć moja kochana teściowo (czy mamusiu), przyjechałam cię odwiedzić – to było nie do pomyślenia. Ona musiała o wszystkim wcześniej wiedzieć, musiała mieć wszystko zapięte na ostatni guzik. Do herbaty były odpowiednie filiżanki i odpowiednia zastawa – inna na przedpołudnie, inna na popołudnie, inna do kawy, każda rzecz miała swoje przeznaczenie. Ja się musiałam tego nauczyć. Muszę powiedzieć, że to mi się nawet spodobało, ta etykieta, i pewne rzeczy, choć tyle lat minęło, to we mnie zostały, zaakceptowałam je i uważam, że są dobre. Np. parzenie herbaty. Rzeczywiście herbata zaparzona tak jak się tam nauczyłam, jest bardzo dobra. Oni parzyli w takiej, jak to się mówi „skarpecie”, w takim woreczku, taka *Netz* specjalna, z bawełny. Frau Baronin zamawiała raz w roku kilkanaście sztuk z firmy Paul Schreder z Bremy, no i herbatę wspaniałą przysyłali. Najlepszą herbatę, pierwsze listeczki zbierane ręcznie w

Darjeling, w wyjątkowo zdrowych miejscach. To była aromatyczna herbata, troszeczkę zmieszana z zieloną, miała taki posmak fajny. Ja się dobrze po tej herbacie czułam. Nie wolno ją było parzyć dłużej niż 5 minut – potem jest gorzka, ciemna. Ta herbata nie robiła po sobie żadnej takiej pozłotki na filiżankach, miała piękny kolor, była wyjątkowo smaczna. 3 minuty to było najlepiej, 3-4 minutki, więcej absolutnie nie. Określoną ilość się dawało na filiżankę. Do tego odpowiednie dzbanuszki, przykrywało się je taką mycą, taką czapą grubą z ociepleniem w środku z flaneli – żeby była ciepła. Herbata nie stała na żadnych podgrzewaczach, bo wtedy zmienia swoje właściwości. Taka właśnie przykryta, żeby ciepło trzymała, była najsmaczniejsza i najaromatyczniejsza.

Głównie gotowałam i podawałam do stołu. Posiłki spożywałyśmy we dwójkę w olbrzymiej jadalni. Była bardzo wielka dyscyplina – zawsze o tej samej porze. Śniadanie o 8.30, a w niedzielę, sobotę lub jakieś święta – za 15 dziewiąta. Rano wstawałam zawsze z takim niepokojem: w jakim ją humorze zastanę? Czy będzie łaskawa, czy będzie naburmuszona, to się bardzo udzielało. Nieraz jedzenie upływało w milczeniu, nie było to przyjemne. Wstawałam koło wpół do ósmej, ścieliłam łóżko, robiłam toaletę, i leciałam robić śniadanie. Wchodząc do kuchni trzeba było zedrzeć kartkę z kalendarza, który wisiał przy drzwiach. Nakrywałam do stołu i czekałam na Frau Baronin. Zegar na wieży wybijał wpół do dziewiątej i ona wchodziła do pokoju równo z zegarem. No i *Guten Morgen, Guten Morgen*, czy dobrze pani spała, czy ja spałam dobrze, takie tam uprzejmości. Zawsze czekałam aż usiadła, dopiero ja siadałam, nalewałam jej herbatę i albo rozmawiałyśmy, albo jadłyśmy w milczeniu, ona przeżuwała i w myśli różne plany

sobie snuła. Potem przychodziła Lotte, przynosiła prasę. Frau Baronin przy stole zostawała dość długo, piła herbatę, czytała. Ja szłam do kuchni, naczynia dawałam do zmywarki, szykowałam sobie do obiadu. Jak była ładna pogoda albo trzeba było w ogródku coś zrobić, to albo obcinałam róże, albo jesienią, zimą jak przywieźli ścięte gałęzie, takie chojny, świerki wielkie, to pomagałam te róże przykrywać.

Śniadanie Frau Baronin wyglądało zawsze tak samo: parzyło się herbatę, jadła jakiś serek, dżemik, czasem miódzik. Chleb kupowałyśmy raz w tygodniu. Była olbrzymia zamrażarka i tam się wkładało pieczywo – na kromeczki się kroilo, potem trzeba było odmrozić wcześniej. W niedzielę były bułeczki. No i jakaś szyneczka. Ona jadła *Lachsschincke*, nie lubiła tłustych rzeczy. Trochę było z nią problemu z jedzeniem, bo pewnych rzeczy w ogóle nie jadała. Np. papryki czy wzdymających – żadnej kapusty, kalafiorów. Miałam problemy z gotowaniem, ale bardzo się starałam, żeby jej smakowało. Obiad był już o 12.00., więc czasu za dużo nie miałam. Baronowa uwielbiała zupy. Zupy w Niemczech są zupełnie inne jak w Polsce, bo albo są to tak zwane *Eintopf*, czyli bardzo gęste, z wkładką mięsną, z kartoflami, że łyżka stoi, i to jest tylko jedno danie – koniec, albo są tzw. *Vorspeise*, to są zwykle takie zupy krem, które się nadają bardziej do picia. No i potem drugie danie, jakaś surówka. Naturalnie deser. Kiedyś zrobiłam czerwony barszczyk, ale taki zabielały, z ziemniaczkami. *Was ist das?* ona do mnie. A ja: *Suppe. Komische suppe - rote supe?* No to tak naląła sobie tylko troszeczkę, patrzyła na mnie czy ja jem, czy ja nie jem. Patrzy, że ja jem, no to tak spróbowała, potem więcej, *hmmm, schmeckt gut*, zdziwiona, że to smakuje w ogóle, że czerwoną zupę można jeść. Lubiła kartofle i marchewki, pod różnymi postaciami,

gotowane, duszone. No i mięsko też lubiła, mięciutkie, dobrze upieczone, sosiki uwielbiała, ale raczej jedzenie proste, nie jakieś udziwnione. Ryb nie lubiła, tzn. samą rybę jeszcze tak, ale nie znosiła zapachu. Uważała, że Polki to są katoliczki i że u nas w piątek, w całym kraju, w każdym domu jedzą ryby. Takie miała zdanie, więc po moim przyjeździe z rezygnacją powiedziała, że w piątek to chyba będzie musiała jeść ryby, ale ja przygotowywałam inne dania, postne, tyle że bez ryb.

Obiad i wszelkie jedzenia przywoziło się na wózek, takim specjalnym, ciągle był w ruchu. U nas by się to nazywało barek, ale to nie to samo, to był taki super wózek: dołem i górą tam była cała zastawa, a jak się zjadło, odstawiało się na ten wózek puste talerze i nie odchodziło się od stołu, nie biegało się jak postrzelony, tylko się siedziało i spożywało się dalszy posiłek z namaszczeniem, delectowało się jedzeniem. To brzmi naprawdę jak bajka, w dzisiejszych czasach, gdzie człowiek goni jak wściekły, gdzie każda minuta jest dla niego ważna, szczególnie dla młodych ludzi ciężko pracujących. To był po prostu inny świat.

Czas posiłku to był relaks. Jadło się pomału, musiałam się tego nauczyć, żeby jej towarzyszyć - nie połykać jedzenie, tylko jeść, delectować się tym co jadłam. No i się siedziało, jadło, rozmawiało. Po obiedzie się kładła, ja szłam do swojego pokoju, coś tam robiłam, haftowałam, albo czytałam, albo się też położyłam, albo siedziałam sobie w ogródku, do trzeciej, wpół do czwartej. O czwartej zawsze była herbata. Ja ją przygotowywałam, ale ona już sobie piła sama w swoim saloniku. Po podwieczorku szłam z psem na spacer, a czasem i do południa jak trzeba było. Najgorzej jak się u sąsiadów suka goniła - Rufus dostawał do głowy, szalał. Ona mnie tak prosiła: Ewa, ja

ciebie tak bardzo proszę, idź z nim, bo zobacz co on wyprawia. A ja byłam zadowolona! Na spacerach z psem zapuszczałam się bardzo daleko, raz to go nawet musiałam nieść, bo by nie dał rady wrócić. Ona potem rozpaczała, że pies jest zmęczony, że jest za stary na takie eskapady. Raz idę, patrzę się, a to była zima, śnieg taki wysoki, z daleka widzę, duży czarny pies. Stanęłam jak wryta, bo nie było żadnego człowieka, a tam zwierzęta same nie chodzą. Myślę sobie Boże kochany, gdzie się schował ten facet, wystraszyłam się, stanęłam, może jaki zbój, gwałcieciel, nie wiadomo kto. Podchodzę bliżej, patrzę się, a to dzik. Wielki dzik. On stanął i ja stanęłam, i się tak na siebie patrzyliśmy. A Rufus tylko nosem rył gdzie jest ślad suki, nawet nie spojrzał na dzika – dzik mógł koło niego przejść. Ja mówię: no rzeczywiście, myśliwski pies! Jego tylko panienki obchodziły, taki był jurny do końca. Kolację Frau Baronin jadła sama, w swoim pokoju, oglądając telewizję. Ja zostawałam w kuchni, włączałam radio, już byłam wolna od tego stresu. Zawsze siadała w takim fotelu „wolterowskim”, wyciągała nogi na pufie, na kolanach miała specjalną tacę. Była fanką sportu i znała się na tym, tak że jak były jakieś rozgrywki, futbol, skoki narciarskie, czy olimpiada, ona wszystko wiedziała. Światła kobieta była. Czytała dużo. Ale miała też swoje humory, nie raz lepiej było jej zejść z oczu, nie wiadomo było dlaczego jest taka zła. To nie chodziło o to, żeby się tam na mnie wydzieriała, ale ja chyba za bardzo się przejmowałam, za bardzo chciałam, żeby wszystko było dobrze. Jak była taka skwaszona i zmierzła, to ja już myślałam, że coś źle zrobiłam, że coś jej się nie podoba.

Na kolację zawsze musiała być zupka. No to obiadu gotowałam zupy na 3 talerze, w małym garnuszku, żeby jedna bulionówka została dla niej na wieczór i ona to wypijała.

Do tego jeszcze coś małego, jakiś jogurt. Później jeszcze parzyłam jej ziółka. Taki był dzbanek brązowy, kamienny, specjalnie na te ziółka. Piła miętę z rumiankiem. Wody nie lubiła, nie chciała pić, ale zawsze miała przy sobie - ja ją prosiłam, bo mnie cała rodzina, wszyscy uczulali, że ona ma dużo pić wody. Potem czekałam tak gdzieś do godziny wpół do dziesiątej i szłam do niej, mówiłam jej *Gute Nacht*, czy jeszcze coś potrzebuje. No i szłam spać.

Moja kuchnia bardzo jej smakowała. Lubiała ziemniaki, w każdej postaci - to mogła jeść ciągle. Robiłam kluseczki, kopytka, knedelki, to jadła chętnie. Nauczyła mnie robić coś takiego, to się u nich je na wiosnę. W soboty do południa, w miasteczkach, na głównym placu przeważnie odbywa się targ. Tam się kupowało zioła – siedem ziół, świeżutkie zioła, pięknie pakowane w takich specjalnych papierach, tam wszystko było wypisane po niemiecku i po łacinie, nawet na niektórych był przepis. Robiło się taki sos na bazie serka podobnego do naszego homogenizowanego, dodawało się kwaśnej śmietany albo jogurtu, i te siedem ziół drobniusieńko pokrojonych. Jajka się do tego gotowało na twardo, ucierało żółtko z sosem, a białko rozdrabniało na miazgę, przyprawiało się solą i pieprzem, i do tego się jadło gotowane kartofle. Ponoć była to ulubiona potrawa Goethego.

Ona nie musiała mówić, że jest Frau Baronin. To widać było, to się wiedziało. Miała coś takiego w swoim zachowaniu, że szła i człowiek się miarkował na jej widok. Coś takiego mają ci ludzie. Miała klasę, to jej trzeba przyznać. Była szczupła, dość wysoka, chodziła zawsze w spodniach, jak każda Niemka. Ubierała się w spódnice tylko jak wychodziła na jakieś spotkania, party. Spódnica podkreśla tam jakąś szczególną

okazję. Miała bardzo ładne rzeczy gatunkowo, ale nie była to tak zwana „szmaciara”. Poznałam dużo Niemek, większość z nich uwielbiała ciuchy, wydawały fortunę na szmaty. Ona nie, ona była skromna. Miała ładne rzeczy, wartościowe, na pewno już wieloletnie. W Niemczech jest taki specyficzny styl ubierania się starszych ludzi. Oni bardzo często, ci zamożniejsi, chodzą w tak zwanym „trachcie”, to jest strój jak gdyby ludowy. Są to bardzo drogie rzeczy, piękne. U nas strój ludowy kojarzy się od razu z krakowskim czy góralskim, czy łowickim, z jakąś cieniutką bluzeczką, a tam nie - tam jest to uszyte z porządnej wełny, grubszej, specjalny krój żakietów. Np. kostium to nie jest typowy kostium taki jak u nas, tylko z jakimiś emblematami, wyłogami, specyficznymi dla danego landu oznakami. Inaczej się ubierają w Hesji, inaczej w Bawarii. W Bawarii strój jest już bardziej typowy, góralski, dużo skóry, zamszu, szarotek. Nie obwieszała się złotem, rzadko kiedy, jak gdzieś wychodziła, ubierała właśnie te swoje prawieczne kostiumy, od lat w idealnym stanie. Widać było, że one musiały być bardzo drogie, najlepszy gatunek, uniwersalny krój. Jakąś tam sobie złotą broszkę przypięła i już. A na co dzień nosiła spodnie, swetry, bluzeczki, miała taki bardzo fajny sweterek z ciepłego moherku, taki długi, a la kamizela, kolorowy, bardzo ją w tym lubiłam. Podczas mojego pobytu przytyła. Nigdy się nie objadała, ale zaczęła jeść regularnie, smakowało jej, jadła z apetytem i zawsze deser jakiś, no to przytyła jednak troszkę, może 2-3 kilo, ale i tak była szczupła. Mimo to była bardzo rozzalona, mówiła: Ewa popatrz, ja się nie dopinam. A ja, że to bardzo dobrze, każda kobieta lubi mieć coś nowego, najwyższy czas, żeby sobie coś Frau Baronin kupiła, czy uszyła, np. nowe spodnie. Długo myślała, długo myślała, bo była bardzo taka nierozrzutna.

Wreszcie zamówiła sobie panią krawcową. Krawcowa przyjechała, przywiozła cały zestaw próbek, a Frau Baronin wybierała. Uszyła sobie dwie pary nowych spodni.

Miała siwiuteńkie włosy. Tego nigdy nie zapomnę. Jakoś jesienią, była taka ładna pogoda, październik, zaprosiła na brydża swoich przyjaciół. Jeden pan był starszy od niej, emerytowany lekarz. Całą młodość i życie do wojny spędził we Lwowie. Umiał bardzo ładnie mówić po polsku, zaciągał jak rodowity lwowiak. Dla mnie to był normalny szok – czysty Niemiec mówi po lwowsku! Na początku jak coś nie rozumiałam, to on tłumaczył Frau Baronin i na odwrót. No więc on i jeszcze dwie panie, towarzystwo zbierało się na brydża. Wtedy baronowa już była rozdygotana. Parę dni wcześniej już czuć było napięcie. Trzeba było stół specjalnie zielonym suknem owinać, to Lotte zawsze robiła. Była przygotowana porcelana, w jakiej należy tym akurat razem podać, instrukcje jak ma być śmietanka ubita, jakie ciasto czy tort upiec. Wszystko musiało być na ostatni guzik dopięte, no i potem sobie grali te parę godzin w brydża. I wtedy właśnie też grali, skończyli, pożegnali się, i wychodzą. Tak stanęłyśmy obydwie na ganku, oni szli podjazdem i wszyscy troje mieli siwe włosy. Jak to wyglądało niesamowicie, te dwie damy, loki zrobione, piękne fryzurki krótko obcięte i ten pan z bujną, gęstą czupryną, w tym jesiennym słońcu to się odbijało. Jakoś tak się smutno zrobiło i ona tak mówi: popatrz Ewa, jacy oni wszyscy są starzy, wszyscy są siwi ...

Ja się tak spojrzałam na nią i sobie myślę: ty też masz siwe włosy. Powiedziała jeszcze „nie wiem kiedy się znowu spotkamy”, tak jakby myślała, że któreś z nich odejdzie. I jak to się stało, że ona odeszła pierwsza? Oni byli starsi od niej, ten pan teraz niedawno

obchodził 90 urodziny, był wielki bal, Lotte została zaproszona, wszystko mi opowiadała.

Z tego co mi mówiła nawet synowa, Frau Baronin całe życie była bardzo wybuchowa. Miała takie humory, moja siostra to nazywa „pańskie wapory”, ale Kornelia mi tłumaczyła, że jej teściowa jest chora na serce, a ludzie chorzy na serce miewają skoki humorów, nastrojów. Czasem lubiła sobie przekląć, ale tak w sensie pozytywnym, *Donnerwetter*, to tak jak u nas cholera, zwykle jak coś ją zachwyciło, to było jej ulubione powiedzonko. Była bardzo dzielnym człowiekiem, teraz to widzę. Nie potrzebowała żadnej pomocy dla siebie – sama się ubierała, sama toaletę robiła, wszystko koło siebie. Była bardzo rodzinie oddana, bardzo. Tym wnukom, prawnukom, chociaż męczyły ją odwiedziny. Przy swoim łóżku miała dzwonek i jeżeli go nacisnęła, odezwał się u mnie – trzeba było do niej lecieć. Z tego dzwonka nigdy nie skorzystała. Wcześniej mieszkała sama. Gotowała byle co, zupkę z torebki, była wychudzona, osłabiona, samotna, zdziwaczała też trochę. To na pewno było smutne życie. W takim wielkim zamku samej. Miała tylko tego psa, z którym się mogła nagadać i to wszystko. Raz zasłała, więc cała rodzina doszła do wniosku, że ona musi kogoś tam mieć do towarzystwa, kto się przy okazji zajmie również gotowaniem.

Pod koniec mojego pobytu Frau Baronin zaczęła mi dużo opowiadać. Chyba mnie w końcu polubiła, bo nawet mnie wysyłała na *Unterricht*, na naukę języka niemieckiego. Chodziłam 2 razy w tygodniu, miałam godzinę wolną, to też było dla mnie coś fajnego. Zresztą do dzisiaj jestem w wielkiej komitywie z tą nauczycielką, piszemy do siebie, dzwoniemy. Starsza pani, od niej się też dużo dowiedziałam o życiu

na zamku. Wszyscy, którzy tam obok mieszkali, w jakiś sposób byli z tą rodziną związani. Mąż mojej nauczycielki był nadwornym ogrodnikiem. Potem założył szkółkę ogrodniczą, prowadzi ją teraz jego syn i synowa, oboje mają wykształcenie ogrodnicze. Z kolei ojciec innej sąsiadki był nadwornym leśniczym. Oni dostali wszyscy po kawałku gruntu i mogli się wybudować na tych włościach, tak że musieli to być dobrzy ludzie, ten baron i jego żona. Chodziłam na lekcje, płacili mi za to, robiłam postępy w języku, starałam się. Baronowa widziała, że dobrze gotuję, smakowało jej, chyba się zorientowała, że nie jestem wścibska, że jestem w miarę kulturalna, taktowna, no nie wiem jak to nazwać, chyba jej moja osoba odpowiadała. W końcu się do mnie przekonała. A poza tym uwielbiałam Rufusa, byłam naprawdę dobra dla tego psa. Kiedy ona nie widziała, pies do mojego pokoju się zakradał, ja go karmiłam ciastem i czym tylko, jadł z Rosenthala na podłodze (śmiech), z talerzyków porcelanowych. Nawet zdjęcia żeśmy z Lotte porobiły, dobrze że ona nie widziała. W końcu żeśmy się zżyły ze sobą.

Baronowa miała lornetkę. No więc tak: ponieważ ten zamek jest bardzo fotogeniczny, ten piękny ogród, to wszystko, ten kościół śliczny, to bardzo dużo ślubnych par przyjeżdżało. W Niemczech jest taka moda, że jak biorą ślub, to szukają pięknej scenerii do robienia zdjęć. Przypuszczam, że Frau Baronin miała jakąś umowę, bo bez jej zgody nikt by tam nie mógł wejść, i jedna fotografka, która robiła piękne zdjęcia, fotografowała te pary. Jak tam ostatni raz byłam, to Frau Baronin dostała przesyłkę z tego zakładu, było to przepiękne zdjęcie zamku, jakby portret, w prezencie od tej pani. No więc fotografowali się w tej pięknej kutej bramie, na tarasie, obok zamku,

w tych różach, przy herbach, a Frau Baronin zawsze brała lornetkę, chowała się za zasłonami i patrzyła. *Ewa, komm*, no to ja przychodziłam. A ona: *siehst du?* widzisz? Raz była taka babka, wianuszek na głowie, brzuch chyba już przed samym rozwiązaniem, i troje dzieci, które miała z jakimś tam innym facetem: jedno małe na rękach, jedno się sukni trzymało, jedno facet trzymał, ten młody, no i robili takie zdjęcie. Więc Frau Baronin, która dużo widziała, tu już była oburzona: jak tak można! W takim stanie, wianuszek na głowie, ileś tam dzieci, i ona w białej sukni! Lornetka przydawała się jeszcze do czegoś innego: baronowa zaszczepiła mi obserwację ptaków. Potrafiła godzinami na nie patrzeć. Miała bzika na punkcie dokarmiania ptaków, ja też nosiłam im jedzenie, wieszałam takie kule, to się nazywa *Meisknedel*. Przylatywały precudne ptaszki, przeróżne, gile, nie gile, jakieś takie, których nigdy przedtem nie widziałam. Z mojego okna w kuchni miałam to na wyciągnięcie ręki, wszystko mogłam widzieć, a jeszcze lornetka. Pod tym względem była bardzo dobra. Zawsze mówiła, że zwierzęta są lepsze jak ludzie. I tu chyba trochę racji miała.

Przychodziły dwie półdzikie kotki, które karmiła. Śliczne, przepiękne, jedna Hilde, druga Mathi. Nie bardzo się dały nawet pogłaskać. Kotki z dumą znosiły myszy na ganek i kładły jej pod drzwiami. Rano, jak Rufus raczył wstać i zaszczekał, to trzeba było otworzyć drzwi i go wypuścić, żeby sobie pobiegał i się wysiusiał. To należało do moich obowiązków, więc musiałam najpierw sprawdzić, czy nie ma myszy, bo Rufus oczywiście je łapał i żarł, no więc zaraz była cała akcja, trzeba było do lekarza z Rufusem, bo zjadł mysz i na pewno się struje.

Do zamku przychodziły szopy pracze. To było coś tak pięknego, że dziękuję Bogu, że miałam okazję to zobaczyć. Przychodziła najpierw sama matka, a potem przyprowadziła dwoje małych. To były dzikie zwierzątka. Obserwowałam z góry, patrzyłam któredy wchodzi. Za murami były schody prowadzące do lasu i potem mała bramka. Przesmykiwały się przez tą bramkę, skradały się i zjadały jedzenie dla kotów, wypijały mleczko. To są strasznie wesołe stworzątka, lubiły stawać na dwóch tylnych łapkach, przednie łapki do góry, i zaglądały do okna. Mają wyłupiaste małe oczka, pyszczki w takie poprzeczne białe paseczki i cudowną sierść, takie puchate ogonki. A te małe, jak one się bawiły, skakały z ławki na ziemię i z powrotem. Musiałyśmy cichutko stać, nie ruszać się, bo one mają doskonały słuch i są płochliwe. Baronowa przychodziła do mnie, czasem nawet o 11 w nocy pukała – nigdy nie weszła do mojego pokoju bez pukania – i wołała *Ewa komm*. To ja już wiedziałam. Są? Są. Stawałyśmy za kotarą i patrzyłyśmy jak zahipnotyzowane. Myślę, że ona mnie polubiła też dlatego, że widziała, że ja lubię to co i ona, że lubię zwierzęta, że to mnie urzeka, że lubię las, pole, to nas chyba jakoś tak zbliżyło.

Pod koniec lata pojawił się przedziwny kot, kocur właściwie. Musiał być z jakimś żbikiem spokrewniony, ponieważ miał ogon grubości mojej ręki, podobny trochę do szopa pracza - takiego ogona u żadnego kota nie widziałam, pręgowany, w poprzeczne paski. Pysk miał płaski jak żbiki, uszy sterczące. Zamek stał na górze porośniętej lasem, drzewami, krzewami, gęstwina, że nawet przejść nie można było, a dołem płynęły strumyczki, potoczki. Nie wiem skąd ten kot się wziął, na pewno nie był to zwykły kot. To było wielkie, olbrzymie, dziwne kocisko. Jak wystawiałam jedzenie dla naszych

kotek i on przychodził, to kotki musiały zniknąć. Byłam wściekła, myślę: ty przybłędo ohydna, tutaj nasze kotki nie mają jedzenia, a ty przybłędo przychodzisz i podżerasz naszym kotkom? Kiedyś wzięłam miotłę z kuchni i do tego kota, a kot się na mnie rzucił! Stałam jak wryta, bo kssssss - i na mnie. No to ja się cofnęłam błyskawicznie z tą miotłą, ale nerwy takie miałam, że nie wiem. I uciekł. A potem, jak przychodził, to się skradał, chował się za donice z krzewami oleandrów, albo w różach siedział i patrzył czy ja idę, czy ja nie idę. Jak się zbliżałam, to tam siedział, jak ja tylko krok do tyłu, to wychodził, nasze kotki się odsuwały, kładły się obok, leżały rozplaszczone, nie było ich, a ten zjadał wszystko i znikał. Frau Baronin go nazwała *Tiger*, tygrys, i bardzo go lubiła. Ja tego kota przeganiałam, tzn. ja bym mu dała jedzenie, ale uważałam, że najpierw nasze kotki powinny zjeść, bo w końcu to było ich terytorium, a on był obcy i tak się rozpanoszył. To mnie wkurzało. I kiedyś dałam jedzenie kotkom i widzę że on się skrada. No to ja mówię *raus*, wynocha, zaczęłam na niego krzyczeć, aż uciekł przez mur. Poszłam do Frau Baronin robić łóżko, okno było otwarte, idę do tego okna, patrzę się, a kot siedzi na takiej małej ścieżce, pysk do góry, i patrzy w to okno do Frau Baronin. Ja normalnie poczułam strach, myślę sobie: Boże, co to jest za zwierzę? Nie wiem, pierwszy raz takie coś widziałam. Ona była bardzo temu kotu przychylna, pytała się czy kot już jest, a on stawał zawsze tam, gdzie jej okno i patrzył. Takiego kota jak żyję nie widziałam, i takiego zachowania też nie. Zawsze miałam jakiś taki lęk, że może ten kot to po nią przychodzi. Takie głupie coś irracjonalne było. Potem się pytałam Lotte czy ona tego kota widziała, bo ona tam ciągle jeździ, ma klucze od zamku, dba o to

wszystko. Lotte mówiła, że kotki Mathi i Hilde jakiś czas jeszcze przychodziły, ale tego kota po śmierci Frau Baronin już nigdy nie widziała.

Zmarła nagle, na serce. Mnie wtedy nie było, akuratnie przed świętami wyjechałam. To były ostatnie święta, które ona przygotowywała. Te słynne adwent-kalendarze dla dzieci, dla wszystkich wnuków, przecież to była niesamowita praca. Ana, jej wnuczka, studiowała socjologię, dziewczyna już dwudziestoparoletnia. Wilhelm odrabiał wojsko, więc ona uważała, że dla nich wszystkich musi te paczki świąteczne wysłać. Oni już wcześniej przysyłali jej adwent-kalendarze, piękne, trzeba przyznać, ja to pierwszy raz widziałam, byłam tym zachwycona. To jest naprawdę fajna tradycja. Przeróżne kształty, formy, teraz i w Polsce można je kupić. To jest taka plansza i w zależności od pomysłu są woreczki z datami od 1 do 24 i te 24 dni przed Wigilią to jest pora adwentu, gdy się czeka na święta. Zaczyna się grudzień, wiesz się to na ścianę, a w każdej torebce jest coś wsadzone i to jest wielka niespodzianka. Może to być jakaś czekoladka, pralinka, może to być jakiś drobiazg, np. Ana miała urodziny w grudniu, to baronowa wsadziła jej tam złoty pierścionek i jakiś większy pieniądz. Codziennie w oczekiwaniu na narodzenie dzieciątka dzieci i dorośli wyciągają coś z woreczka. Każdy dzień jest taki pełen radości, oczekiwania, bardzo podoba mi się ten zwyczaj. Inna ciekawa rzecz to *Adwentskranz* – wieńce adwentowe. Sama robiłam i bardzo ładnie mi to wychodziło, tak że baronowa była zachwycona. Robiłam te wieńce z gałązek świerkowych, Lotte mi pomagała. Gałązki zwijało się takim cieniutkim drucikiem ciemnozielonym, do środka wsadzało się świeczki – 4 świeczki, 4 tygodnie adwentu. Co tydzień zapalało się jedną świeczkę. Jak przyszedł czas adwentu, pierwsza niedziela,

stawiało się ten wieniec, słicznie pachniał. Przy posiłkach obowiązkowo paliły się świece. Muszę przyznać, że to stwarza naprawdę piękny nastrój. Jak był czas adwentu, to za oknami śnieg sypał, a tam zapalało się świeczkę, potem druga niedziela adwentu, paliły się 2 świece, potem 3 i 4 do końca adwentu. Pięknie to wyglądało.

Kiedyś to mnie wzruszyła. Nazbierałam bardzo dużo róży dzikiej, głogu, chciałam marmoladę zrobić. Robota straszna, bo to trzeba każdy jeden owoc przekroić i wyciągnąć pestki. Ona widziała, jak ja się z tym dłubię, jak ja się grzebię i przyszła do mnie do kuchni, siedziała ze mną i to obierała. Mówiła: jak ty możesz to robić, przecież to jest okropne, ale potem jak zrobiłam tą marmoladkę, z jabłuszkami - to jest *Hagebutemarmolade* - to zajadała się tym, bardzo jej smakowało. Zapytałam się czy mogę podarować dla synów, no to się zgodziła. Jak ja robiłam różne marmoladki, to ona opisywała słiczki, bardzo lubiła opisywać. Kupowała specjalnie takie piękne etykiety z owocami, eleganckie. Ja potem się o to u nas pytałam, ale do dzisiaj takich nie znalazłam w żadnym papierniczym sklepie. Pisała co to jest i kiedy zostało przygotowane. Była tam bardzo fajna spiżarnia, z ogromnymi oknami, a w niej zamrażarka i szafa właśnie na takie przetwory. W drzwiach szafy była muślinowa siateczka, tak że powietrze dochodziło, porządek był super w środku, bardzo mi się to podobało. W spiżarni była też szafa na wazon, flakony do kwiatów. Miała ich ponad 100, na różne okazje. Do każdego pokoju, na każdy stolik musiały być inne dopasowane. Miała zmysł artystyczny, to trzeba przyznać. Ktokolwiek do niej przychodził, to zawsze z kwiatami. Umiała pięknie te kwiaty układać. Ja jak chodziłam z psem po polach, łąkach, to zrywałam gałązki, kwiaty, zbierałam liście i robiłam kompozycje. Na ogół te

moje bukiety były dobrze dobrane – ona była zachwycona. Raz chyba tylko coś tam zmieniła, ale przyznam, że mi się też nie za bardzo podobało, tyle że nie wiedziałam co z tym zrobić, a ona miała pomysł. Tak że tutaj też miałyśmy wspólną płaszczyznę – układanie kwiatów.

Ukochane róże Frau Baronin. To była jej wielka słabość. Miała uroczy ogród, z zakątkami, figurami, ławeczkami, krzewy dookoła, kamienne pojemniki na kwiaty. Róże wprost uwielbiała, chodziła koło nich, zaglądała, obcinała, pilnowała podlewania. Ona je ścinała i przynosiła do mego pokoju albo kładła mi w kuchni pod oknem. To jest jedno z takich bardzo miłych, ciepłych wspomnień, które mi się zawsze będzie dobrze kojarzyć: jej ukochane przepiękne róże. Jak już przekwitwały, to ja je suszyłam na szafie, w cieniu - pięknie pachniały - a potem haftowałam woreczki zapachowe. Podarowałam Frau Baronin taki woreczek z jej różami. Ten woreczek stał do końca mego pobytu koło niej, w tym pokoju, w którym zawsze oglądała telewizję. Teraz jak wspominam, to chciałabym tam wrócić, z tą znajomością języka, którą mam i z tą wiedzą, z tym doświadczeniem, bo jednak parę lat minęło, z wieloma rodzinami miałam do czynienia, poznałam ich mentalność, ich sposób życia, jedzenia, nawyki, ubierania się, spędzania czasu. Wtedy to było dla mnie obce. To było jak gdyby zetknięcie się dwóch światów, dwóch kultur i to jeszcze nie na równej płaszczyźnie, jakby nie patrzeć.

Wyjeżdżałam od niej chyba 22 grudnia, ostatni przewóz przed świętami, ostatnia „rajza” na Polskę, oni tam potem mają też przerwę świąteczną w tej firmie przewozowej. Strasznie się napracowała przy pakowaniu prezentów. Była tym zmęczona, ja to widziałam. I była bardzo smutna, bardzo. Ja jej mówiłam: czemu się tak pani smuci Frau

Baronin? A ona, a, że będzie sama. Ja mówię, no przecież Franz Josef przyjedzie, tak zapowiedział, a ona na to, że nie chce do żadnego dziecka jechać, nie chce u nikogo być, i nie cieszy się, że on przyjedzie. Nie lubiła jego żony. Ja jej powiedziałam, że przecież 28-go, zaraz po świętach, pierwsza jazda na Niemcy, to przyjedzie Inga i będzie z nią, a Inga była taką jej ulubienicą, bardzo dobrze mówiła po niemiecku, a poza tym miała takie nastawienie – *egall* – niczym się nie przejmowała. Kartka z kalendarza, chociażby. Mówiła mi: Ewa, szkoda twoich nerwów, ja to wchodzę do kuchni, zrywam kartkę, wkładam do kieszeni i myślę: znowu mam 50 marek. Tak to traktowała. Ja bym tak nie potrafiła. Więc mówię baronowej, Inga przyjedzie, nie będzie pani sama. A ona: *no ja, no ja*. Smutno mnie zegnała, tak prosiła: jedźcie ostrożnie, uważajcie, żeby się nic nie stało, żeby Ewa tu jeszcze do mnie wróciła. Pod koniec naprawdę była już do mnie bardzo przywiązana. Tuż po świętach przyjechałam na krótko do Wiesbaden zaopiekować się rodzicami znajomych. To była wtedy straszna zima, było tak ślisko, że oni się dziwili, że ja w ogóle dojechałam. Drugiego stycznia dostałam telefon, tam do Wiesbaden, że Frau Baronin zmarła. To był szok dla wszystkich, nikt się nie spodziewał. W sylwestra przyjechał najmłodszy syn, którego ona bardzo lubiła, synowa, grali w brydża, stroili wszystko na początek karnawału. To się stało nad ranem, nie wiem dlaczego, podobno serce nie wytrzymało.

Miała coś takiego w sobie, że wszyscy się jej bali, nawet synowie. Do końca nie chciała odpuścić, trzymała wszystko w garści, ale chodziła po ziemi twardo i doskonale wiedziała co się będzie działo, jak ona umrze. Kiedy zaczęłam coraz więcej ją rozumieć, to mi jej było bardzo żal. Jednego dnia stałyśmy przy kominku, a jej było strasznie

zimno. Miała 87 lat, to mogło jej być zimno, szczuplutka była, zawsze stała przy kaloryferach i się grzała. Ja mówię: dlaczego się tu w kominku nie pali, przecież to by było tak przyjemnie. A ona, że to się ciągnie wysoko w górę, coś tam jest nie tak, wszystko to trzeba by naprawiać, a Franz Josef się nie zgadza. On był bardzo chytry, ten Franz Josef, straszna sknera. I ona tak mówi do mnie pod wpływem chwili: Ewa, ja wiem, że jak ja umrę, to tu się wszystko zmieni. Tylko ja to trzymam. Wszystko tu będzie zaraz rozebrane. Póki żyję, to jest tak jak było, i taki porządek, jaki powinien być. Jak umrę, to się szybko zmieni. Ja - że to niemożliwe, tak się patrzyłam na nią, a ona na mnie. Pewnie myślała: och naiwna głupia kobieto. Chociaż nie wiem czy przypuszczała, że aż tak to wszystko będą grabić. Wszystko się sprawdziło. Franz Josef wynajął zamek rodzinie z Indii czy skądś, ten dół cały. Pani zajmuje się medycyną niekonwencjonalną, ma tam gabinet. Bardzo mili ludzie, ale ponoć straszne brudasy. Płacą i w jakimś sensie utrzymują zamek, ale Lotte mówi, że całkiem go zniszczyli. Na górze Franz Josef ma swoją rezydencję nadal. Po śmierci baronowej rodzina zachowała się bardzo nieładnie. Niektóre przedmioty były na stałe przywiązane do zamku, nie wolno ich było ruszyć, np. ogromne szafy zamykane na sztaby kute w żelazie, kufry, skrzynie, to też była świętość, żadne z dzieci nie mogło tego wziąć, tak było zapisane w papierach. A o resztę, tą całą porcelanę i inne rzeczy podobno się tak strasznie kłócili, że Frau Baronin chyba rzeczywiście nie miała złudzeń co do swojej rodziny, szczególnie co do Franza Josefa. Co dla mnie dziwne, również najmłodsza synowa, taka miła, okazała się bardzo pazerna. Najmłodszy syn studiował rolnictwo i bardzo chciał przejąć te dobra. Ojciec mu obiecał i umarł nagle. Matka skłaniała się, żeby część ziem

przepisać synowi, ale też nie zdążyła, więc Margerita, jego małżonka, czuła się strasznie wykołowana przez tę rodzinę. Wszystko było łupione, grabione bezpardonowo, cały ten dobytek. Jak Lotte mi o tym opowiedziała, to ja spać potem nie mogłam. Jedynie Kornelia odebrała to, co tam miała swojego, bo odziedziczyła dużo pięknych rzeczy po rodzicach, np. biurko, ale ponieważ miała maleńki domek (bardzo przytulny, bardzo fajny, ale maleńki), więc podarowała je Frau Baronin. Ten dom miał coś takiego w sobie, że wciągał człowieka. Czymś emanował, nie można było pozostać obojętnym. To nie był zwykły dom. Ja się tam dobrze czułam, również jeżeli chodzi o zdrowie, nie mogę powiedzieć. Potem jednak tak te dzieci zachowały się podle, że straciłam szacunek do nich i czar prysł. Kiedyś miałam taki niesamowity sen: pusty salon, tylko jedna duża skrzynia, na niej siedzi Frau Baronin, dookoła kupy śmieci i ona mi tak pokazuje: popatrz Ewa, co oni robią.

Zawsze jak od niej wyjeżdżałam, za każdym razem dostałam jakiś prezent. Strasznie mi się podobały pojemniczki do marmoladki, ja tego nigdy nie widziałam, u nas nie można było kupić, zachwyciły mnie. Przepiękne, przesłodkie były, z owocami na wierzchu, specjalne łyżeczki do tego. Ciemna marmoladka w pojemniczku gdzie były śliweczki, jasna marmoladka tam gdzie jasne owocki. Takie pierdółki, takie głupstwa, a jaki to klimat stwarza.

Jak jechałam na pierwsze Boże Narodzenie do domu, ona zamówiła w firmie Vileroy and Boch właśnie te pojemniczki, dwie takie jakby cukiernice, z łyżeczkami, pokrywkami, żeby osa się nie dostała. Jak ona pamiętała, że to mi się akurat podoba? Innym razem dostałam od niej taki piękny *Brodttopf*. To jej sama powiedziałam, nawet

pojechałyśmy z Lotte wybrać. Pytałam czy może być, bałam się trochę, że może za drogi, ale Lotte powiedziała: możesz śmiało kupować w tej cenie. Mam go do dzisiaj, ten pojemnik na chleb. Dostałam też piękny album na zdjęcia i od razu narożniki do wklejania, specjalny klej, cały zestaw. Zawsze mi coś kupiła. Był czerwiec, moje urodziny. To był chyba najmilszy prezent, jaki mnie w życiu spotkał. Frau Baronin dzień wcześniej nacięła róż i te róże trzymała u siebie w sypialni, w wazie - potem się wydało. Wstała pierwsza ode mnie, musiała to sobie wszystko przygotować. Rano przychodziłam do kuchni, nakrywałam do stołu w jadalni i potem zamykałam się w kuchni, robiłam herbatę, szykowałam śniadanie na wózeczek. Tamtego dnia też zajęłam się śniadaniem, a ona musiała to w międzyczasie zrobić. Koło mojego talerza ułożyła kwiaty naokoło, taki piękny półwianuszek z róż, postawiła świeczkę, zapaliła, z dwóch stron prezenty opakowane, które miała dla mnie na urodziny. Ja się spodziewałam, że ona mi coś da, bo Lotte podpytywała co bym chciała. Ja się wykręcałam, a w końcu powiedziałam, że chciałabym ładny dzbanuszek do herbaty, bo u nas wtedy nie było takich ładnych rzeczy. I ta biedna baronowa gdzieś jeździła do miasta, zamawiała, szukała, sprowadzała, i właśnie taki śliczny, z cieniutkiej porcelany dzbanuszek dostałam od niej w prezencie, i jeszcze jakieś słodycze, drobiazgi. Bardzo się ucieszyłam, ale najważniejsze dla mnie było, że ona sama ten wystrój zrobiła, że jej się chciało, że zapamiętała, żeby wieczorem naciąć kwiatki. To było takie wyróżnienie, że ten dzień jest dla mnie. Nikt mi czegoś takiego w życiu nie zrobił, nie uhonorował tak mego święta. Potem jak gdzieś byłam, to pies z kulawą nogą nawet się nie zainteresował, że mam urodziny, a tutaj - wydawałoby się taka Frau Baronin. Jak to mówiła pani, która

nas tam wysła: wy wszystkie jesteście „Tootsie”, wystarczy że wyjedziecie, a one zapominają, mają was za nic. A jednak nie.

THILDE

Jechałam tam jako pierwsza, z Polski nikt tam nigdy przede mną nie był. To jest 16 km od Stuttgartu, duże miasteczko, ponad 40 tysięcy mieszkańców, nazywa się Sonneberg. Nie wiedziałam na co trafię, dowiedziałam się tylko tyle, że pani ma *schwache Muskel*, czyli słabe mięśnie, ale ja już znając Niemców i wiedząc, jak to u nich bywa - że najpierw jest schwache muskel, a potem się okazuje, że człowiek w ogóle się nie rusza – mówię: proszę się dowiedzieć, czy tam jest jakaś pielęgniarka, czy przychodzi ktoś do pomocy, co ja powinnam robić, czy będę miała jakiś czas wolny dla siebie itd., bo ja teraz też już wymagam, określone warunki muszą być i z ich strony, i z mojej, to jest w końcu jakby umowa o pracę. No więc pani M., ta, która organizuje nam pracę, zadzwoniła tam, z synem rozmawiała, powiedział, że przychodzi pomoc.

Pielęgniarka była przez pierwszych parę dni, z Pflegedienstu przyjeżdżały takie dwie panie do południa, koło dziewiątej, jedna chyba bardziej jako towarzystwo. Ja się przypatrywałam, jak ona to myje, ale mówiąc szczerze miałam nerwy i byłam nawet zadowolona że ona się zabierze. Pytał się syn czy ona musi zostać, ta pani, czy ja sobie poradzę. Ja mówię, że sobie poradzę, że lepiej, żeby ona poszła i nie przyjeżdżała na razie więcej, bo tak odwała tą robotę, że szkoda jego matki.

Niedaleko miasteczka jest ogromna fabryka, a jej szefem był właśnie mąż Thildy. On ją zabezpieczył bardzo dobrze finansowo. Mieli tylko jednego syna Georga. Syn jest żonaty, starszy pan, nie ma dzieci. Mieszka z żoną niedaleko od matki, w następnej miejscowości. Mają bardzo ładny domek, przepiękny, z cudownym *Wintergarten*, to jest chyba marzenie każdej kobiety, żeby coś takiego mieć. Georg prowadzi firmę, niedużą, zatrudnia kilka osób. Prowadzi ją do spółki z kolegą ze studiów, Anglikiem. Sprzedają jakieś części komputerowe do różnych krajów świata, dużo na Daleki Wschód. Widocznie dobrze to prosperuje, jest zbyt, ma dojścia, nie narobi się, pracuje w domu, powodzi im się dobrze. Nie jacyś superbogacze, ale są zamożni ludzie, i co jest ważne, nie są skąpi, powiedziałabym, że są w porządku jeżeli chodzi o sprawy finansowe, i nie tylko. I on i żona – naprawdę fajni ludzie.

Dom Thilde jest urządzony bardzo gustownie. Budowali go z mężem, jak ona miała trzydzieści parę lat. Dom jest bardzo wygodny i jak na Niemcy - niezagracony. Tak jak we wszystkich domach tam, jest wyjście z pokoju bezpośrednio na taras. Na tym tarasie możesz siedzieć, śniadanie jeść, możesz wszystko. Z tarasu masz oczko wodne, rybki pływają, jest ogródek. Wszystko jest dla nich – dla ich duszy i ciała. Niemcy kochają się w różnych bibelotach i w miarę starzenia się dom obrasta w te drobiazgi, ponieważ dużo podróżują, zawsze jakieś pamiątki przywożą, więc z każdego wyjazdu dochodzi coś nowego. Na tym się tylko kurz gromadzi. Po latach to już niestety nie jest takie piękne, jak było nowe. Thilde ma niewiele bibelotów, ale bardzo oryginalne. Syn jeździ po świecie, zawsze jej przywozi pamiątki. Ma np. piękny wachlarz z Singapuru, chińską miniaturkę na kaflach, w zdobionym uchwycie,

zasuszone zioła za szybą, wszystko jest takie inne niż w zwykłych domach. Są to takie rzeczy, które i mnie się podobają, które chętnie powiesiłabym w swoim domu. Ma dużo rzeźb z drzewa. Trzy fantastyczne sowy: jedna ogromna i dwie małe. Proste rzeźby, zachwycające. Ma zbiór bardzo pięknych, cennych książek. To są takie książki, które ona przeczytała i które ja też czytałam, nie tylko lekkie powieści, ale nawet Dostojewski, „Bracia Karamazow”. Te same książki lubiliśmy. To jest takie śmieszne, dziwne. Chodzisz po domu, dotykasz sprzętów i wiesz, że swój urządząbyś dokładnie tak samo.

Natomiast Thilde... Widok jest przerażający, ponieważ to są same kosteczki pociągnięte skórą, ale to nie jest tak, jak ktoś jest np. chudy. Wyobraź sobie rękę – tu masz kość, tu masz mięśnie, prawda? A jej tu wiszą worki. Wiszą worki, ponieważ nie ma mięśni. Jak ją zobaczyłam... Ona jest teraz brzydka, same zmarszczki, nie można powiedzieć że jest zachwycająca, urodziwa czy coś, to jest karykatura człowieka w tej chwili. Ale ona ma coś takiego w sobie, że jestem pełna podziwu dla tej kobiety (płacze). Choroba się zaczęła 2 lata temu, Thilde miała wtedy 77 lat. Pierwsza była krtań. Nie wiedzieli co się z nią dzieje, nie mogła normalnie mówić, miała trudności z połykaniem. Była tylko 5 dni w klinice w Stuttgarcie, wzięli ją na badania, zrobili wszystko co trzeba i okazało się, że jest to zanik mięśni, na który nie ma ratunku. Różni lekarze ją leczyli, nawet logopedę miała, uczyła się mówić na nowo. Kobieta kiedyś wysportowana niesamowicie, dzień w dzień na basen, brała udział w maratonach i co tylko, taka znana postać w tym miasteczku, z racji męża, zresztą sama też pracowała, w biurze, nie siedziała w domu. Była bardzo towarzyska, stała na świeczniku, dużo robiła dla innych w tej miejscowości, a tu raptem przyszła taka choroba. Nie wiedzą z czego się to bierze,

choroba jest niezmiernie rzadka, to nie jest żadne *sclerosis multiplex*. Atakuje w różnym wieku. Podobno u młodszych ludzi idzie to szybciej niż u starszych, o dziwo. Umiera się pomału, z pełną świadomością. Mózg pracuje idealnie. Thilde ma taki słuch, że ja jak żyję nie widziałam jeszcze, żeby ktoś tak słyszał, jak ona. Ja się śmieję, że ona słyszy jak trawa rośnie. Ona jest na górze, my z synem na dole. Zamykamy wszystkie drzwi i mówimy szeptem, żeby nie usłyszała o czym rozmawiamy. Do tego stopnia. Nie mamy żadnych tajemnic, ale nieraz syn się pyta co się wydarzyło nowego, co zrobimy z nią, co ja myślę, jak dalej będziemy postępować, czy trzeba już nowe łóżko zamówić, takie ortopedyczne, czy trzeba nowy fotel dla niej. Po co ma tego słuchać? Bardzo jest szczupła. Kiedyś musiała być wysoka. Widziałam na zdjęciach. Jest takie z jej mężem, jedno jedyne stoi na dole w pokoju. Gdzieś przypadkowo zrobione. Zalotna, bardzo miła kobieta. Dołeczki w policzkach, fikuśne; uśmiechnięta, kokietyjna, już była starszą panią. Nie do wyobrażenia. Nie ta kobieta. Piękne włosy miała, jeszcze teraz ma ładne włosy. Ja nie umiem zrobić fryzury, na takie krótkie włosy, gęste, to mi się zawija potem za mocno, ciągnę ją, to ją na pewno boli. Zauważyłam to już dawno, że nie mam sprawnej manualnie lewej ręki, prawą tak, ale zrobienie czegoś lewą ręką sprawia mi trudność, a to trzeba suszarkę trzymać w prawej, a tą lewą ręką musisz manipulować i fryzurę robić. Boję się tego, ale ona się szybko zorientowała i od razu powiedziała, że mam to zostawić, mam tego nie robić, troszkę podsuszyć i już. Ona nie chce, żebym ja za dużo z siebie dawała. Za to ładnie jej podciąłam włosy, nie wiem skąd to mi się znalazło, ale tak, na palce naprawdę pięknie mi się udało. Pierwszy raz w życiu (śmieje się).

To idzie takimi małymi kroczkami, tak się posuwa z dnia na dzień. Jak ja przyszedłam, to ona jeszcze lewą ręką próbowała jeść i jakoś sobie radziła. Po pewnym czasie zauważyłam, że ona mi pokazuje, żebym ja ją karmiła. W pierwszej chwili sobie pomyślałam: no tak, wie, że ja już tu jestem, to wygodna, karmić ją, ale potem sobie myślę: Ewa – wróć! Ona naprawdę już chyba nie może. Zaczęłam to jakoś w żarty obracać, śmiać się - *bitte sehr* - i ona też to tak potraktowała, ale widziała, że rzeczywiście gorzej się dzieje. Tu ją strasznie ramiona bołą, widocznie w tym miejscu są jakieś przyczepy czy coś, ja tak już nie pamiętam z anatomii, uczyliśmy się przez rok, miałam w tej swojej szkole, ale to było lata temu. Ona ma tu same kości. Wszędzie kości. Tylko brzuch stoi, tylko brzuch. Wiem, że przyjdzie taki moment, że trzeba ją będzie karmić dojelitowo, że już się nie da inaczej. Najgorsze jest przełykanie. Ja ją karmię, a ona zaczyna się dławić. To jest okropne, bo nie wiesz co robić, jak ją ratować, bo ani ręce w górę, ani nic, a ona "he-he-he". Nie może żadnych płynów, łyżeczką ją karmisz, obiad trwa nieraz pół godziny, wszystko co jej gotuję, przecieram mikserem, to są takie papki, głównie zupka, staram się ją robić pożywną, i witaminy, i jarzyny. Serce to jest też mięsień. Płuca, to wszystko, jak to pozanika, to przecież ona się udusi. To jest strasznie stresujące. Tak się mówi, że się człowiek przyzwyczaja, ale jest naprawdę bardzo ciężko. Taki człowieka żal ogarnia, taka litość dla tej osoby, a wiesz, że ona nie chce, żeby się nad nią litować, nie wolno pokazać, że się nad nią litujesz, więc trzeba się pilnować. Ale kiedyś nie wytrzymałam. Byłam w łazience z nią, ona sobie jeszcze próbowała lewą ręką zęby myć. Myła szczoteczką, potem ręką próbowała wodę wyciągnąć, ślinę, to wszystko, potem już nie mogła, wszystko jej wypadło. Ja się

rozpłakałam i ona się rozpłakała. I tak się obydwie przytuliłyśmy, ona mnie trzymała za rękę i tak żeśmy płakały ... Ona nie może teraz ani usiedzieć zbyt długo. Ja nawet bawiłam się z nią w takie komedie: ach, to teraz robimy zakład fryzjerski, kosmetyczka. Znalazłam jej przepaskę, stanęłam z tyłu, kremuję, tu, tam, perfum, fajnie wszystko, szyję trochę podklepałam, jej się to podobało, cieszyła się, uśmiełyśmy się. Dużą przyjemność sprawia jej, kiedy ją wykapię, ona bardzo lubi być czysta. Lubi jak woda na nią spływa, cieszy się. Dobrze nam razem. Kiedyś mówię do niej: szkoda, że my się nie znałyśmy wcześniej. Ona też, że bardzo szkoda, że żyłyśmy tak daleko jedna od drugiej i dopiero w takim momencie mogłyśmy się zobaczyć. Trzeba było nieszczęścia, żebyśmy się spotkały. Opowiadam jej o dzieciach, o rodzinie, ona wszystko o mnie wie. Ja dla Małgosi byłam bardzo dobra, naprawdę się nią opiekowałam, ale w stosunku do Thilde – to jest coś, czego sama nie rozumiem, nie wiem, co takiego ta kobieta ma w sobie, nie wiem. Jestem dla niej bardzo cierpliwa, komedię gram, żartujemy, śmiejemy się. Ona coś tam powie – ja mówię *jawohl Herr General*, ona się śmieje, aż łzy jej lecą. Ona tak rękę wykręca, że niby chciałaby mnie zbić, a ja *hahaha, moechten Sie, aber kennen Sie nicht?* I z tego jej kalectwa ja się śmieję i ona się śmieje. Ona wie, że nie jestem złośliwa, że wygłupiam się, a ja wiem, że mogę tak żartować. Thilde jest taka pełna dystansu do siebie i tej swojej choroby.

Nie wiem na jakiej zasadzie my się rozumiemy, nie mogę dojść do tego. Ona nie może mówić, ale wszystko potrafi mi jakoś tak bełkocząc powiedzieć. Ja to potem powtórzę po niemiecku i ona kiwa głową, że tak. My dziwnie między sobą rozmawiamy, naprawdę, ale jakoś to się udaje. Ten syn czasem nie rozumie co ona mówi, to mnie

woła żebym mu wytłumaczyła co matka chce powiedzieć. Ma wielkie trudności z powiedzeniem choćby jednego słowa, ale jak upadła, jak leżała na podłodze, ja usłyszałam wyraźnie, naprawdę, ona potrafiła w tym szoku wołać „Ewaaaaa, Ewaaaa”, wyraźnie wołać! Byłam na zakupach, przychodzę, auta pod domem nie ma, czyli syna nie ma w domu, no to, myślę, kto ma klucze od jej mieszkania, bo słyszę jakby tam na górze ktoś był, i w końcu to gardłowe: „Ewaaaa”. Wszystko rzuciłam, lecę na górę, pierwsze co, to do ubikacji, nie ma jej, przychodzę do pokoju – puste łóżko. Nogi mi wrosły. Jak się zerwałam, patrzę, a ona leży na podłodze. Na tyle świadoma, myślała że da radę pójść, to się zsunęła z tego łóżka, bo bała się, że zabrudzi pościel. Ona jest czystiotka, dla niej krępujące jest, że ja muszę to przy niej zrobić. No ale co – to jest człowiek, to trzeba pomóc. Ja powiedziałam jej: Thilde, że następnym razem ma leżeć w łóżku, nawet niech będzie cała po pachy brudna, nie szkodzi, mamy tyle wszystkiego, wyrzuci się i koniec. Ja tego nie będę prała, bo ona mówi: absolutnie nie prać, wyrzucić i koniec. Ona się przecież może połamać na dodatek, to by była tragedia! Przymknęła mi, że już więcej nie będzie z tego łóżka wstawać. Teraz, jak wyjeżdżałam, ta ręka zmieniła się strasznie. Zrobiła się ogromna, spuchnięta, boląca. Tu te mięśnie się zbijają w jedną wielką kulę, grubą, twardą, i się jak gdyby przekręcają. Ją to musi strasznie boleć, ale cierpi w milczeniu. Jest bardzo dzielna. Naprawdę. Bardzo dzielna kobieta. Nie chce się poddać. Ona się broni. Broni się przed łóżkiem, broni się przed leżeniem. Chce wstać, ale nie może. To jest straszne: rano, ona ma przerażoną minę, jest sztywna. Ja dźwigam z łóżka taką sztywną kukłę, żeby ją posadzić, przytulam, pogłaszczę, pod spód ją chwytam i przyciągam do siebie, aż ona siądzie. Jak poczuje, że siedzi, to się ją wtedy

poprawia, posuwa się dalej, żeby nie spadła i próbuje potem wstać. Podejrzewam, że jeszcze trochę, a ona już nie wstanie.

Nie wiem co będzie dalej. Leży tylko na jednym boku, na prawej stronie, ponieważ na lewej nie może. Kręgosłup ma skrzywiony poprzez te mięśnie które popuszczają. To wygląda niesamowicie, ta jej budowa, miednica. Po prostu tragedia. Dlaczego to tak ludzi dopada, dlaczego na starość, kiedy są samotni? Syn ją tak bardzo kocha. Zawsze ją przytuli, głupoty jakieś opowiada, żartuje, a ja widzę, że serce mu się kroi. Kiedyś powiedział: „wiesz Ewa, ja to tylko życzę mojej mamie, żeby odeszła w śnie, żeby nie umierała świadomie, żeby usnęła i koniec”. Ona się bała, że ja nie wrócę, że to dla mnie jest tak ciężkie, że nie wytrzymam tego. Ja jej przyrzekłam, jak wyjeżdżałam, że wrócę, żeby czekała na mnie. Co ja jej miałam powiedzieć? Tam się mówi *gute Besserung* – dobrego ozdrowienia – przecież to jest absurd, wiadomo że ona już nie wyzdrowieje. Będę ją okłamywać? Będę jej takie slogany mówić? Pokiwała głową, że będzie czekać. Przytuliłam ją. Nieraz sama się do mnie przytuli. Stoję koło niej, a ona się przytula. Tak jakby to było moje dziecko. I tak weźmie tą moją rękę, tak jej się podoba, że ja mam te mięśnie, a mnie aż strach ogarnia. Myślę: kobieto, nie zazdrość mi tego.

Czy będzie czekała? Myślę, że tak. Jeżeli jej świadomość ma tu coś do powiedzenia – będzie czekała. Chyba że stanie się coś od niej niezależnego, że nie będzie mogła nad tym zapanować, jakiś skurcz serca, czy coś takiego, z czym sobie nie poradzimy. Ale jeżeli tylko będzie mogła, to będzie czekać, jestem pewna. Nie wiem czy chce umrzeć przy mnie. Trudno powiedzieć. Słyszałam, że ludzie na ogół odchodzą

w samotności, że chcą jak gdyby oszczędzić bliskim tego momentu, tego bólu, że ty widzisz jak ona odchodzi i nic nie możesz zrobić. Może ona chce mieć tą świadomość, że ja jestem, że mimo wszystko nie jest sama? Nie pytałam się jej, bo jakoś nie mam odwagi o tym rozmawiać wprost. Są takie pewne sprawy niedopowiedziane do końca, obydwie o tym samym myślimy, ale nie mówimy. To jest bardzo dziwne, ta sytuacja, w której ja się znalazłam teraz. Nigdy bym nie przypuszczała, że takie coś mnie spotka. (płacze) Nie wiem, może to mi było potrzebne? Moja mama odeszła kiedy byłam w Niemczech. Miałam straszne wyrzuty sumienia, że ją zostawiłam, że nie zostałam przy niej. Jakoś tak się przeliczyłam, myślałam, że ona poczeka, że dotrwa, nie sądziłam, że to tak szybko pójdzie. Potem sobie pomyślałam, może to teraz tak ma być, że mam być przy tej kobiecie? I to, co nie dałam matce, mam jej dać? Nie wiem. Też sobie nieraz popłaczę, jak wspominam mamę, to Thilde wie, to mnie wtedy ona pociesza.

To jest oczekiwanie na śmierć. Zawsze wiem, kiedy ona o tym myśli, ale udaję że nie widzę, albo wezmę ją za tą rękę, potrzymam, i ona tak mruczy „yyyy”, „yyyyy”, ja zaraz coś tam zagadam. Ona mi pokazuje, że to już koniec. I ja wiem, że to jest koniec.

Thilde czekała na Ewę, która wróciła do Niemiec po niecałym miesiącu. Wkrótce jednak stan chorej tak się pogorszył, że syn zdecydował o umieszczeniu jej w hospicjum. Ewa codziennie spędzała z Thilde kilka godzin. Pod koniec czerwca musiała na krótko pojechać do Polski. Tuż po rozpoczęciu podróży dostała sms-a. „Ewa! W momencie wyjazdu twojego autobusu, o 14.40., mama umarła. Byłem przy niej. Georg”